

POGRANICZE

*„Nigdy tak do końca nie przynależysz do tego domu -
po prostu dlatego, że nie urodziłeś się w nim”*

Lee Su Kim, “Malaysian Flavours”

1

Australia październikową ciepłą nocą. Niepostrzeżenie zrobiły mi się z życia sourkraut & sausages, czyli bigos; albo melting pot, czyli cabbage & beans: groch z kapustą. Słodko-kwaśna paplanina życia skamlała mi o łaskę od dłuższego już czasu; coraz trudniej przestawałem z ludźmi; narastała we mnie pewna niebezpieczna inklinacja do brzydoty, śmietników i rynsztoków, w których chronią się przed obcymi ludzie cokolwiek wykolejeni - tak jak i ja, choć zapewne dla innych, bardziej złożonych, niekiedy może nawet tragicznych przyczyn. Życie dogryzało mi i doskwierało, piekło i swędziało, naprzykrzało się nie do wytrzymania. Nie mogłem tego mego życia ścierpieć - mówię: „tego mego”, bo przecież nosiłem w pamięci i inne, lepsze chwile, te z dalekiej przeszłości, kiedy nie miewałem podobnych rozterek. I ponieważ je nosiłem, rozmyślałem w skrytości, rozmarzałem się niepoprawnie i niepoważnie, że chwile owe powrócą - z moim czy też bez mojego udziału, wcześniej czy też później, takim sposobem czy też innym, ale powrócą. W tym życiu bowiem zaistniał jakiś szwindel, którego sam sobie padłem ofiarą, boć trudno tu obwiniać kogoś drugiego. A jak szwindel to uparcie wierzyłem, że wyjdzie szydło z worka, że oliwa nieżywa, zawsze sprawiedliwa. Wtenczas to zacząłem posiłkować się cudzymi słowami, szukać najstrzelistszej frazy, która by pasowała do mojej prywatnej legendy, w jaką sam siebie wpędzałem i niby dla ochrony przed samym sobą otaczałem.

Pewnego razu dostała mi się w ręce rzecz wspaniała: słowa Tomasza Manna z opowiadania pod jakże miłym sercu tytułem „Pajac”: „... nieobca mi była myśl, by opuścić miasto ze spiczastymi domami i gdzie indziej w świecie żyć dla swych zamiłowań. Szczęśliwy? Ależ jadłem wybornie.” Ach, tak? Toć to sedno mego nieszczęścia, motto wszystkich słów kiedykolwiek wypowiedzianych. Ja moje miasto już dawno opuściłem, to znaczy tamto miasto - w Europie; potem miałem drugie moje miasto, to na południu; i trzecie, to na wschodnim wybrzeżu; miałem błękitny, drewniany domek na Balboa Island i miałem inny domek - ceglany, z widokiem na góry z jednej strony i suszącą się bielizną otyłej sąsiadki z drugiej. Ale ja te wszystkie moje miasta bliskie i dalekie, wszystkie moje domy o płaskich czy spiczastych dachach nieodwracalnie, bezpowrotnie opuściłem. Co więcej, mnie właśnie ponownie zaczynało nosić, mnie zaczynało znowu odbijać, ja się dusiłem we własnym sosie. Potrzebowałem oddechu, potrzebowałem czmychnąć przed samym sobą, gdzie pieprz

rośnie, albowiem co i rusz obłapiało mnie przygnębienie; inna rzecz, że przygnębienie obłapiało mnie od tak dawna, jak tylko pamiętam. W chwilach najgłębszych, w chwilach najpodlejszych, stojąc na krześle w niskim, półciemnym, zamkniętym od środka garażu, wsłuchując się w łoskot serca, toczyłem monolog, wewnętrzny spór o eutanazję i powtarzałem: teraz, teraz, teraz.

Lecz sporu nie rozwiązałem, bo życie to zdarzenia, które toczą się w czasie, rozmyślasz o przeszłości i przyszłości, i druga mi niebawem wpadła w ręce rzecz wspinała: „Pod osłoną nieba” Paula Bowlesa, a w niej ten oto wyjątek: „O ile turysta zazwyczaj spieszy się do domu po kilku tygodniach czy miesiącach, podróżnik, który do żadnego miejsca nie pragnie przynależeć bardziej niż do innego, porusza się powoli, latami, z jednego krańca ziemi na drugi.” Tymczasem ruszyłem więc kolejną w życiu podróż. Tymczasem.

2

Miasto-wyspa Penang, brama do Azji, Perła Orientu, jak przed wiekiem Brytyjczycy zwali to egzotyczne miejsce; dziś osiem godzin Qantasem od Brisbane. W porównaniu z Europą - rzut beretem, nawet z Ameryką: Honolulu, dalej LA - dzień drogi. Jednak nie o kilometry tutaj idzie; Penang to był dla mnie od pierwszej chwili inny świat. To nie żadna aluzja, nie będę więcej budował sobie legendy. Opowiem, jak było, kropka w kropkę, choć z tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem. Rozpierzchnęła się w jednej chwili cała moja wewnętrzna męka, hen po najdalsze pokłady pamięci nie było we mnie tyle spokoju jak wtenczas, gdy wtopiłem się w nieznaną, obcą, niedostępną azjatyckie życie.

Wieczór. Lotnisko było brudne, niebywale brudne, o duszącym zapachu organicznej fermentacji w kipiących kubkach na śmieci, o bladym świetle płynącym z co drugiej sprawnej neonówki. Przed budynkiem głównego holu rosły dwumetrowej wysokości krzewy papai, nieopodal - bananowce z szerokolistnymi grzebieniami, fantazyjnie splecione palmy pandanusowe i rozdziawiające ku światłu swe paszcze agawy. Po drugiej stronie ulicy, w świetle sodowych lamp wkopanych w trawnik, błyszcząły pnie i postrzępione pióropusze gibkich palm kokosowych. U szczytu wisały zielone, nabrzękle, połyskujące świeżością orzechy, u dołu leżały orzechy brunatne, przerosłe, zdrewniałe - te, które spadły w podmuchach wiatru. Leżały też w trawie pożółkłe, zbrązowiałe daktylowe liście - długie jak skrzydła huzara. Klisza pamięci. A potem trochę niezręczny uścisk dłoni, nieśmiały uśmiech skrywający zdenerwowanie, chwila dokuczliwego milczenia i zostaliśmy przyjaciółmi: Pei Ling, Che i ja.

W samochodzie czuć było zapach perfum. Zapach i zdenerwowanie, gdy prowadząc auto zatłoczonymi ulicami, Pei Ling nie bardzo wiedziała, dokąd jechać. Hotelu szukaliśmy do godziny drugiej w nocy; był to pierwszy dzień długiego weekendu, z okazji Deepovali, hinduskiego Nowego Roku - wszystkie pokoje były zajęte. Toteż, raczej z uwagi na nieporęczność tych poszukiwań niżli późną porę i

zmęczenie moich opiekunów, zdecydowałem się przedrzemać tę pierwszą noc w luksusowym hotelu Paradise.

Zostali ze mną, rozmawialiśmy myszkując do świtu w swoim życiu, spali we dwoje na osobnym łóżku, podobnie zresztą jak następnej nocy i jeszcze kolejnej. Nasze wirtualne rozmowy na Internecie stały się rzeczywistością, martwy ekran komputera przeobraził się w żywy obraz klimatyzowanego pokoju, za którego oknem trwał żywy świat, toczył się żywy świat, i ja byłem teraz jego nieodłączną częścią.

Poznałem ich na kanale „Brisbane” na IRC. Pei Ling miała pseudonim Little Star, adres: jaring.my. To wystarczyło. Zapytałem, czy się nudzi, czy ma ochotę pogaworzyć z Polakiem z Australii. Miała. I ja miałem ochotę pogaworzyć z kimś, kto, jak sądziłem, we wszystkim, we wszystkim różni się ode mnie.

Che liczył nieco ponad dwadzieścia pięć lat, lecz mimo młodego wieku i uzyskanej anglojęzycznej edukacji był twardym chińskim tradycjonalistą, idącym krok w krok śladem swego ojca i dziadka. Pei Ling była jego narzeczoną. Od kilku lat mieszkali razem na Jalan Raja Uda, w samym sercu chińskiej dzielnicy, lecz ślubu na razie brać nie brali. Tak jak prawie wszystkie pary byli oni swymi pierwszymi i najpewniej - jak podkreślał Che - ostatnimi partnerami. Zwłaszcza dziewczyna, która nadmiernie przebiera w chłopcach, uchodzi za ladacznicę - to opinia Pei Ling. Kilkunastu partnerów, i oczywiście więcej, mają tylko prostytutki, w chińskiej kulturze, o dziwo, szanowane. O dziwo! Tak rozmawialiśmy w pokoju albo na plaży.

Wilgotny klimat przypominał mi Ile des Pines, na której bawiłem niegdyś całe dwa upojne tygodnie. Zasadnicza różnica polegała jednak na tym, że tutaj właściwie nie byłem turystą, że stąd nie miałem już dokąd wrócić, że zamiast domu miałem plany, nieszczególnie sprecyzowane plany podróży do Chin. Być może dla tej przyczyny obserwowałem miasto z perspektywy nie turysty, lecz przybłądy. Od wielu już lat, może od czasu gdy po raz pierwszy opuściłem Polskę, trwałem w nieustannej podróży, przede wszystkim w sobie samym. Tak było w Melbourne, podobnie w Los Angeles, a nawet w Polsce, gdy któregoś dnia udało mi się wrócić „na stałe”, lecz uciekłem.

Malezyjska wiza w paszporcie uprawniała mnie do trzech miesięcy pobytu, lecz zapas gotówki mógł wystarczyć na krócej. Fascynowała mnie jednak ta nieskończona wolność wyboru, ta nieskończona niewiadoma, owo cygańskie - romskie - życie, które przyszło mi wieść; przerażała mnie, przyprawiała o paniczny strach perspektywa zostania bez grosza w kieszeni i bez drogi wyjścia. Owszem, parę tysięcy ringgitów, którymi dysponowałem, pozwalało mi spać spokojnie i liczyć na szczęście, jednakże rozsądek i zimna kalkulacja mówiły przeciwnie. Faktem jednakże było, że nie trafiłbym tutaj, gdybym kierował się rozsądkiem, najpewniej gnuśniałbym bez końca i bez celu w moim australijskim, jakże komfortowym półdobrobycie najedzonego do syta półdekadenta. Liczyłem na to, że w Azji się zmienię, odnajdę, skosztuję życia, którego dotąd nie znałem. Może wstąpię do wspólnoty, sekty jakiejś, postudiuję Prawdę Życia, poobcuję. Może skąpię się jak Mao w cudnej rzece, jak Hindus w Gangesie. Wszakże potrzebowałem jakiegoś Boga.

W pierwszych dniach moi przewodnicy pokazali mi miasto i wyspę. Nie raziły mnie już tak bardzo jak pierwszej nocy ani widoczna na każdym kroku bieda, ani nieporządek, ani też brak typowej dla miast Zachodu, zaplanowanej urbanistyki. Nowoczesne wysokościowce mieszkaniowe w południowej części wyspy wyrastały z

gąszczu slumsów i jednopiętrowych kamienic na starówce w Georgetown; kamienic odrapanych, obskurnych, podpartych żelaznymi drągami, z zamkniętymi na zardzewiały skobel okiennicami na piętrze i otwartymi na parterze bramami do zakurzonych kramów bławatnych, szewskich warsztatów i garkuchni. Przypominało to wiek XIX, gdy Penang Island zaczęli zasiedlać Chińczycy, organizując swe rodzinno-finansowe klany. Z czasem Georgetown, jak i wiele innych dzielnic miasta zdominowała hermetyczna chińska kultura, sprawiając, że widok ulic przypominał tak przedkomunistyczny, wolny od radzieckopodobnej gigantomanii Szanghaj, jak i Hongkong, Tajwan i na wskroś chiński Singapur, lecz także bodaj wszystkie chińskie kwartały miast na świecie - od Nowego Jorku aż po Londyn i Sydney.

Przerdzewiałe datsuny i toyoty z lat siedemdziesiątych, wymieszane z nowiutkimi protonami i kancilami ery premiera Mahathira, sunęły jednostajnym prądem wąskimi ulicami, na których tylko z rzadka widać było wytartą farbę białych i żółtych pasów. Setki motocyklistów przemykało slalomem pomiędzy samochodami, nie zważając na bezpieczeństwo. A jednak ludzie byli spokojni. Nie widać było tak nieosobliwej na Zachodzie wściekłości kierowców, niemych krzyków za szybko i złorzeczeń. Spokój duszy i pokora wobec doczesnego życia. Dlatego tu przyjechałem, a w każdym razie tego pragnąłem. Niby nic, a jednak pewna błoga niebotyczność.

3

Po kilku dniach zamieszkałem w schronisku Mister Soona, trzydziestoletniego Chińczyka, w Batu Ferringhi na północnym krańcu wyspy. Z okna mojego pokoiku, nie większego niż trzy na dwa metry niczym cela zakonnika, jak i z tarasu na pierwszym, najwyższym piętrze roztaczał się widok na wąską, szarożółtawą plażę i uśpioną mleczną akwamarynę Cieśniny Malaki. Na falach leniwie kołysały się rybackie kutry i wycieczkowe dżonki o wyróżniających je spośród innych, owalnego kształtu żaglach. Gdzieś na horyzoncie, gdyby mieć wzrok sokoła, majaczyły odległe brzegi nieprzyjaznej dzicy Sumatry.

Siedząc na tarasie, rozmyślałem o swoim zaprzestłym życiu. Taras. Widok na plażę. Bezczywność. Czekanie. Rozmyślania za osiem dolarów dziennie, tyle akurat warte co i cała moja przeszłość. Rozmyślania patetyczne i trywialne, aczkolwiek to schronisko, dom rodzinny raczej i moja w nim obecność stanowiły dla mnie nowy sens, sens za osiem dolarów właśnie. W schronisku dopiero zdołałem pojąć, co naprawdę czują ludzie bezdomni, którymi tak powszechnie gardzą ci, co domy mają. I którymi ja do czasu gardziłem.

Mister Soon patrzył na mnie z niedowierzaniem, ilekroć, w tych pierwszych dniach, przywoływał mnie do telefonu. Dzwonili ludzie, których poznawałem na ulicach i we wszystkich miejscach, gdzie bywałem. Próbowali mi pomóc - w czym? Nikt nie wiedział. Pragnąłem wsiąknąć w tę atmosferę życia, stać się kimś zupełnie innym, niż byłem. Być może był to kryzys wieku średniego, który przytrafia się tym ludziom, którzy zrealizowali swoje życiowe ambicje lub przeciwnie, stracili nadzieję; być może był to przesyt monotonii i płacenia cotygodniowych rachunków, wykonywania codziennych bezsensownych czynności. Być może był to kolejny etap

kryzysu tożsamości, któremu uległem już wiele lat temu, obcując z różnymi narodowościami, wśród różnych kultur, w odbiciu których pragnąłem dostrzec siebie takim, jaki jestem naprawdę, zdefiniować się po wszystkie czasy, ostatecznie, raz na zawsze. Nigdy jeszcze nie udało mi się pochwycić tej akurat chwili, w której kimś w ogóle jestem. Jestem nikim.

Wkrótce stałem się w schronisku najstarszym stażem gościem; większość turystów zatrzymywała się tutaj najwyżej na dwa tygodnie, podczas gdy ja koczowałem jako nieomal stały rezydent. Rewanżowałem się Mister Soonowi za różne drobne przysługi, które mi wyświadczał, niewielkimi prezentami, jakich pełen był mój plecak: australijskimi chorągiewkami, misiami koala na kółkach do kluczy, kangurkami, wombatami, miniaturowymi bumerangami, którymi, jak szybko zauważyłem, bawiły się jego dzieci oraz wszystkie dzieci chińskie, malajskie i tamilskie na ulicy. Ilekroć pojawiałem się w pobliżu, witały mnie gromkim krzykiem, otaczały gromadą i pytały jedno przez drugie, we wszystkich językach oraz łamaną angielszczyzną, czy Mister Sebastian ma dla nich obiecane, cokolwiek uprzednio obiecałem, to i owo.

Wśród dorosłych mieszkańców cieszyłem się równą sympatią, jakbym najsumienniejszą pełnię swej przynależności do tej części Batu Ferringhi; nikt nie wiedział, że jak chwast w ogródku.

W barze na rogu żywiłem się trzy razy dziennie, na pocztę wysyłałem listy do Australii i Polski - przypuszczam, że pocztmajster ode mnie dopiero dowiedział się, iż Poland i Holland to dwa osobne kraje. Tuż obok, w zadaszonej restauracji bez ścian jak pergola, do której zachodziłem na niedzielny obiad, pracowało małżeństwo Malajów. Z wyjątkiem pory lunchu i wieczornego obiadu panowała u nich pustka. Jednak siły witalne tych dwojga ludzi zdawały się być niespożyte, ich magnetyzm działał na mnie budująco. Czekałem - na co? Nikt nie wiedział.

Batu Ferringhi to była właściwie jedna ulica, licząca ze dwa kilometry długości, od której odchodziło w kierunku plaży kilka poprzecznic. Wyrosły tutaj pięciogwiazdkowe hotele i bezcłowe sklepy, a w ich majestatycznym cieniu przycupnęły kioski z różnymi duperelami, posterunek policji, wypożyczalnia samochodów, smętne cienie noszonych na plecach sprzedawców ciastkarni - pełnych najprzedniej wypiekanych ryżowych przysmaków.

W ciągu dnia główna ulica zdawała się być uśpiona. W powietrzu wisiała równikowa wilgoć i zapach wodorostów. Pięć razy dziennie rozlegały się śpiewne modły z wieży meczetu; słychać było dzwonki buddyjskich świątyń. Rano i wieczorem w przydomowych ołtarzykach tliły się wonne patyczki jossu. Z nieba spływały albo nieskończenie długie promienie słońca, albo monsunowa ulewa - krótka, lecz obfita. Po deszczu ziemia natychmiast wysychała; widać było, jak paruje gliniasta maź i kurczą się kałuże, zmieniając się szybko w twardą skorupę. Po deszczu uciekały z ulic i chodników wystraszone ślimaki, a w ich miejsce pojawiali się nieliczni ludzie. Czasem następowała kolizja i w pisku co bardziej paniusiowatych turystek i w zgrzycie kruszonych skorupek kończyło się ślimacze życie. Po deszczu z drzew schodziły mały i gromadziły się wokół śmietników, szukając pokarmu, i niekiedy jedna drugiej wygryzały z futerek drobinę kurzu i insekty.

Wieczorem, który zapadał wcześniej, Batu Ferringhi ożywiało się. Kelnerzy uwijali się między stolikami, dwa kilometry ulicy zaczynały wypełniać brezentowe stragany, w których kupić można było wszystko. Ceny były, rzecz jasna, wygórowane, często dwukrotnie wyższe aniżeli w mieszkaniowych dzielnicach miasta, lecz dla turystów i tak pozostawały raczej atrakcyjne.

Większość towaru pochodziła z Hat Yai, ubogiego tajlandzkiego miasteczka, trzy godziny jazdy pociągiem z Penangu, gdzie bieda zmusza ludzi do niewolniczego chałupnictwa za groszowe wynagrodzenie. Jednak tutaj, w jednym z najdroższych i najprężniej prosperujących miejsc w Malezji, podczas kilku wieczornych godzin właściciele straganów potrafili zarobić ponad tysiąc ringgitów, równowartość przeciętnej miesięcznej pensji policjanta, nie licząc łapówek.

Batu Ferringhi znaczy w języku malajskim: Kamienne Wybrzeże, choć kamienia, nie mówiąc o skale, nie uświadczysz, więc miejscowi używali zwykle innej, bardziej chyba adekwatnej nazwy - Plaża Zagraniczników. Z początku i ja mogłem uchodzić za zagranicznika, lecz po miesiącu, po dwóch stałem się kimś o dziwacznym statusie. W dalszym ciągu miejscowi traktowali mnie jak gościa, podczas gdy turyści - trochę jak swojego, trochę miejscowego. Często widziałem, jak Europejczycy spoglądali z góry na Malezyjczyków; nie można powiedzieć, że panoszyli się, lecz widać było w ich twarzach nieco przesadną dumę. Widziałem też, jak miejscowi, zwłaszcza islamscy Malajowie, wodzili wzrokiem, z mieszaniną zgorszenia i niezdrowych fantazji, za potężnych rozmiarów Europejkami, które pokazywały swe do połowy odkryte piersi i umięśnione uda. W Europie seks traktuje się niczym podanie ręki, szeptano. Czułem wyraźnie, że w Batu Ferringhi stykają się dwa odległe światy. W swoim narastającym szaleństwie zaczynałem się zastanawiać, do którego z nich przynależę bardziej. Trzeba mi było Azji, bym to pojał.

4

Pewnego pochmurnego dnia, gdy jak zwykle nie miałem co robić, udałem się na spacer główną ulicą. Jak zwykle rozmyślałem o swoim życiu. Oto z wolna stawałem przed dwoma zasadniczymi problemami: w błyskawicznym tempie topniała reszta pieniędzy i na dniach kończyła się ważność wizy. Do Australii nie chciałem wracać; zbyt krótko jeszcze pozostawałem w kręgu azjatyckiej kultury - jeśli uległem jakimś przemianom, nie były one, jak sądziłem, wystarczająco trwałe. Wewnętrzny podszept mówił mi, iżby eksperyment ciągnąć dalej. Pierwotnie zamierzałem pozostać na kontynencie co najmniej rok, głównie w Chinach, a także marzyła mi się włóczęga przez Syberię, lecz na razie podróży nie mogłem kontynuować. Należało podjąć pracę. Proza życia - teraz już naprawdę potrzebowałem forsy.

Z rozwiązaniem pospieszył Mister Soon, sugerując, abym wynajął minivana i obwoził turystów po miejscach, które wcześniej pokazali mi Pei Ling i Che. Zaiste, nikt w Batu Ferringhi ani w Georgetown nie świadczył podobnej usługi. Mister Soon był zdania, że wystarczy rozmieścić kilkaset ulotek w hotelach, restauracjach i sklepach, a klienci chętnie się zgłoszą. Wynajęcie mikrobusu kosztowałoby dwieście

pięćdziesiąt ringgitów dziennie; gdyby pobierać od sześciu-ośmiu osób po osiemdziesiąt ringgitów za całodzienną wycieczkę, zostałoby sporo zysku. Był tylko jeden problem: bez oficjalnego zezwolenia władz imigracyjnych ryzykowałbym najpewniej kilka miesięcy więzienia, a uzyskanie papieru było wprost niemożliwe. W miejscowym dzienniku „The Star” przeczytałem o dwóch Rosjankach z Taszkientu, które sfalszowały pieczęć przedłużenia ważności wiz. Obie dwudziestopięcioletnie kobiety skazano na pięć miesięcy aresztu i publiczne potępienie, dobrze, że nie chłostę. Nie miałem ochoty podzielić ich losu.

Co prawda sprawa mojej wizy była o tyle prostsza, że mogłem wyjechać na weekend do Tajlandii (dlaczego one tego nie zrobiły?) i wrócić zaopatrzonej w nową pieczęć. Zresztą nie byłem pewien, czy w ogóle nie zatrzymać się na dłuższy czas w Tajlandii, gdzie stróża prawa są na ogół mniej surowi niż w Malezji i mniej biorą.

Tak rozmyślając dotarłem do kawiarenki Virtual Paris, prowadzonej przez Jean-Paula i Monique, właścicieli, jak zrazu sądziłem. Z czasem okazało się, że pracują dla Chińczyka - od dziesiątej rana do dziesiątej wieczora, siedem dni w tygodniu, od siedmiu lat. Od razu zauważyłem, że trwali na granicy depresji.

Jean-Paul urodził się na francusko-brytyjskich Nowych Hebrydach, jako syn plantatora palm kokosowych. Gdy z wysp utworzono niepodległe państwo Vanuatu, ojcu i całej rodzinie nie przyznano obywatelstwa ani prawa stałego pobytu. Stracili majątek i popłynęli do sąsiedniej, wciąż francuskiej Nowej Kaledonii. Ojciec otworzył wytwórnię wody sodowej, lecz w sześćdziesięciotysięcznej Numei nie zrobił kokosów. Zgorzkniały, umarł przedwcześnie.

Jean-Paul wyjechał z matką i siostrą do Paryża, gdzie próbował studiować najpierw prawo, potem dziennikarstwo, wreszcie medycynę. W międzyczasie zakochał się w żeglarstwie, kupił zdezelowany jacht i wrócił na Pacyfik, do Francuskiej Polinezji, gdzie przez piętnaście kolejnych lat zabierał turystów na morskie wycieczki. Potem zdarzyło się coś, o czym niechętnie opowiadał. Albo wdał się w jakieś czarne interesy, najpewniej pranie brudnych pieniędzy z Nigerii, albo odebrał komuś wpływowemu dwudziestoparoletnią wówczas Monique. Dość że oboje musieli uciekać nie tylko z Polinezji, lecz w ogóle spod kontroli francuskiej jurysdykcji, legalnej bądź mafijnej.

Osiedlili się w Indonezji, skąd prowadzili regularne rejsy jachtowe do Malezji. Wreszcie stracili także jacht i zbankrutowani osiedli w Batu Ferringhi, gdzie rok po roku urodziło im się dwoje dzieci. Największym zmartwieniem Jean-Paula było to, że od lat nie udawało im się uzyskać zezwolenia stałego pobytu, a wizy tymczasowe należało przedłużać rok w rok, bodaj w nieskończoność, zawsze w obawie, że ten czy ów urzędnik imigracji odmówi przyjęcia łapówki.

Gdy wszedłem do małej sali, Jean-Paul powitał mnie swym jak zawsze nieco naindyczonym, lecz przyjaznym spojrzeniem.

- Zys ys vanderrful tu si ju irre egejn - powiedział swą francuską angielszczyzną.

Monique wydeła usta jak do pocałunku na odległość, po czym ułożyła je w normalny kształt wygiętej ku dołowi podkówki. W jej twarzy, pod maską dobrych obyczajów, kryła się nuda, niewyobrażalna nuda oraz zniechęcenie, apatia, martwa dusza.

- Szukam pracy - oświadczyłem bez żadnego wstępniaka, siadając przy jednym z komputerów.

- Nie znajdziesz - bezceremonialnie przepowiedział przyszłość Jean-Paul.

- Mogę robić wszystko, nie zależy mi.

- Nie znajdziesz - powtórzył.

- Co umiesz robić? - Monique uniosła głowę znad swojego komputera. Oboje spędzali całe dni w wirtualnej Francji, przeglądając biblioteki, rozmawiając na czacie, śledząc wydarzenia w Pałacu Elizejskim. Był to ich ubogi substytut rzeczywistości. Nigdy wcześniej nie spotkałem tak bardzo chorych na tęsknotę ludzi.

- Niewiele, to prawda - odparłem, wpisując na komputerze adres Wirtualnej Polski.

- Znasz HTML? - zapytała Monique.

- Trochę - odpowiedziałem. Na ekranie ukazała się witryna w języku polskim.

- Możesz zbudować sobie stronę i sprzedawać towar jako agent jakiejś firmy. Amazon. Nutricommerce... Słyszałam pogłoski, że dobrze sprzedaje się pornografia - jej podkówka zmieniła na moment kształt.

- Pójdiesz do więzienia - ostrzegł Jean-Paul. - W tym kraju prawo jest surowe, ale sprawiedliwe wobec wszystkich.

- Wiem. Kara śmierci za dwieście gramów marihuany.

- Tak, tak, na pewno słyszałeś o tych australijskich chłopcach - Monique.

- Czytałem w prasie.

- Chłosta za topless na plaży - ponownie Monique.

- Funkcjonariusze urzędu do spraw islamu czekają tylko na tych od pornografii - ciągnął Jean-Paul. - Cyberpolicja czuwa.

- W dziewięćdziesiątym czwartym urząd cenzorski wstrzymał projekcję „Listy Schindlera”, z uwagi na wyeksponowaną nagość stojących w kolejce do gazu europejskich Żydów - powiedziała Monique. - Tymczasem niesłabnącą popularnością cieszą się dobrze zbudowani Stallone, Schwarzenegger i Van Damme.

- Tu nie o to chodzi! - zdenerwował się Jean-Paul. - Żydzi są jedyną nacją, której Malezja odmawia wydania wiz turystycznych. Islamska solidarność.

- Nieprawda! Spielberg nie zgodził się na cięcia - zaprzeczyła Monique, równie zdenerwowana jak mąż.

- A co ty wiesz o Spielbergu? - podniósł głos Jean-Paul. Z pewnością poszliby na udry, dysputę rozbisurmaniając w kłótnię, w jeden z tych bezsensownych sporów o nic, których byłem już parę razy świadkiem, lecz na zewnątrz rozległ się śpiew z gigantofonu na wieży meczetu.

- Allach alla ulala lala! - Jean-Paul jął przedrzeźniać modlącego się. - Zamknij, do cholery, te drzwi!

Monique kopnęła od niechcienia drzwi, po czym powiedziała:

- Czego się czepiasz? Czas na lunch. Oni wołają się na kawę. Komu kawy, komu herbaty! - błysnęły jej zęby w drwiąco-litościwym uśmiechu.

- Muszę znaleźć pracę. Jestem bez grosza - napomknąłem nieodważnie, lecz Francuzi spojrzeli tylko po sobie i wrócili do wirtualnej ojczyzny. I ja więc wtopiłem się w katalogi Wirtualnej Polski.

Kiedy godzinę później wychodziłem, Monique przypomniała:

- Pamiętaj, pornografia.

Z kawiarenki udałem się na lunch do malajskiego baru i po lunchu zaszedłem na chwilę do małego antykwariatu książkowego, prowadzonego przez Hindusa. Ukłonił się na progu, składając dłonie i kiwając parokrotnie głową. Zagłębiłem się w książkach, szukając czegoś na wieczór. Hindus sam zaproponował mi kiedyś tę bezpłatną formę wypożyczenia.

W pewnej chwili dostrzegłem na półce polski tytuł, tłumaczenie jakiejś amerykańskiej powieści. Wziąłem książkę do ręki i otworzyłem ją na pierwszej stronie. U dołu kartki widniała okrągła czerwona pieczęć Biblioteki Miejskiej w Rzeszowie. Niebawem! Nasi tu byli! - powiedziałem do siebie, jak Jerzy Stuhr w „Seksmisji”, kiedy znalazł butelkę po tanim winie.

Pokazałem książkę Hindusowi.

- Nie pamięta pan, kto to przyniósł i kiedy?

Zamyślił się. Był to pierwszy ślad z Polski, na jaki natrafiłem w Penangu i w ogóle w Malesji. Nie było tutaj żadnej placówki dyplomatycznej, żadnej misji katolickiej ni handlowej. Któregoś razu spędziłem pół dnia wertując książkę telefoniczną, lecz nie znalazłem polskich nazwisk. Dotąd nasze ślady widywałem wszędzie, nawet na cmentarzu Paryskich Komunardów w Kanumera, małej wiosce w Nowej Kaledonii. W Port Vila dotarłem do domu kapitana Macieja Machi Bocheńskiego, pół roku po jego śmierci, i poznałem panią Pat Bocheńską, Angielkę, która z kolei przedstawiła mnie Kubie z Chorzowa, ten zaś opowiedział o polskim dentyście, który akurat opuścił Port Vila, udając się na Fidżi, gdzie na uniwersytecie w Suva pracował jeszcze inny Polak. Polska pajęczyna nie ma granic, lecz nie sięga ona Malesji. Tak przynajmniej sądziłem dotychczas.

Antykwariusz przypomniał sobie: tę książkę i kilka innych, które odszukał dla mnie na półkach, sprzedało przed dwoma-trzema dniami dwoje starszych ludzi, zapewne małżeństwo.

- Mówili po angielsku?

- Mężczyzna całkiem dobrze, kobieta nic.

- Gdzie mieszkają? Wyglądali jak turyści?

Wzruszył ramionami. Za dwadzieścia pięć ringgitów odkupiłem książki i reszta dnia minęła mi na wędrowce po hotelach i schroniskach w Batu Ferringhi. Pytałem w recepcjach o polskich gości, ewentualnie o Polaków z Australii lub Europy Zachodniej. I tym sposobem znalazłem pod wieczór to starsze małżeństwo w hotelu Golden Sand. Zatelefonowałem do ich pokoju z recepcji. Słuchawkę podniósł mężczyzna.

- Dobry wieczór, mówi pan po polsku?

Cisza.

- Do you speak Polish?

- Ach, tak. Yes, yes, mówię, oczywiście, że mówię.

Pięć minut później siedziałem w głębokim fotelu w apartamencie państwa Zielińskich, którzy spędzali na wyspie swe zimowe wakacje.

- Ubiegłego roku byliśmy w Singapurze - powiedziała pani Zielińska, stawiając na ławie filiżanki i dzbanek z herbatą. - Nie ma pan pojęcia, jak pozytywnie te tropiki regulują samopoczucie. Człowiek czeka pół roku, potem wygrzewa się dwa tygodnie i po powrocie na nasze śmietnisko pół roku ogląda wideo.

- Przyszedł czas, że Polaków stać wreszcie na wycieczki po świecie, a nie tak jak za komuny: Reich, Hamtramck, Green Point. Arbeit, arbeit! - uzupełnił pan Zieliński.

- No, myśmy co prawda nie jeździli na saksy - sprostowała pani Zielińska. - Mąż od lat pracował w Centrali Handlu Zagranicznego.

(A więc komunista, hmm.) Pan Zieliński uśmiechnął się zadowolony. Był to mężczyzna przynajmniej siedemdziesięcioletni, o sylwetce sportowca, w nieskazitelnie czystej koszulce polo, krótkich, beżowych spodenkach i nowiutkich klapkach na stopach, zakupionych zapewne specjalnie na tę podróż. Na przegubie ręki miał złoty zegarek, na szyi - złoty łańcuch, w kieszonce koszulki - okulary w złotej drucianej oprawie.

- A pan długo w Malezji? - zapytał.

- Trzy miesiące. W przyszłym tygodniu kończy mi się wiza.

- A, to pewnie w interesach? - podał mi cukiernicę.

- Nie, skądże. Właściwie sam nie wiem, co tu robię. Wybierałem się do Chin, ale...

- Niech pan tam nie jedzie! - gwałtownie przerwała mi pani Zielińska. - Byliśmy w Pekinie dwa lata wstecz. Skandaliczne wczasy. Skandaliczne, proszę pana.

- No, wiadomo, komunistyczna paranoja szpiegowska i totalna, ale to totalna biurokracja - wtrącił pan Zieliński.

Pani Zielińska opowiedziała anegdotę o tym, jak na ulicy w Beijingu zaczęli ją Chińczycy, chcąc kupić dolary.

- Powariowali w tych Chinach. Kiedyś wierzyli w dziwne pomysły Mao, a teraz wygląda na to, że wierzą już tylko w dolary - poprawiła dłonią starannie ufryzowane włosy.

- Zupełnie jak u nas, przyznasz, kochanie?

- Państwo z Rzeszowa?

- Co też przyszło panu do głowy? My z Warszawy. Mąż to ze starej warszawskiej rodziny, ja od czterdziestu lat na emigracji z Litwy. Ale przywykłam już do naszej Warszawy.

- Dlaczego z Rzeszowa? - zaciekawił się pan Zieliński.

- Znajoma, która pracuje w administracji hotelu, mówiła mi, że są tu goście z Rzeszowa - skłamałem.

- A, to na pewno ci dwaj faceci. To, proszę pana, dorobkiewiczze, nowobogaccy. Piją tylko w barze na dole i wstyd nam przynoszą - wyjaśniła pani Zielińska.

Rozwiązanie zagadki, kto sprzedał książki, zdało mi się całkiem interesujące. Ci starsi, niewątpliwie zamożni ludzie nie wyglądali na takich, co w bibliotekach kradną książki albo kłamią, że pochodzą ze stolicy.

- Spotkali państwo jeszcze innych Polaków?

- Nie, proszę pana. Polaków nie stać na wyjazd do Malezji - kategorycznie oświadczyła pani Zielińska. - To znaczy nie wszystkich stać...

- Żona ma na myśli, że tańsza jest Tajlandia, Indie, Wietnam.

- W Indiach byliśmy przed pięcioma laty. Ale do Indii można pojechać tylko raz. To doświadczenie życia. Jazda pociągiem, na przykład, to, proszę pana, walka o życie. Albo taka prosta, zdawałoby się, czynność jak przejście na drugą stronę ulicy w Bombaju. Nie wyobraża pan sobie, jak niecywilizowani są ci Indusi i jak brzydko

paskudzą się te ich krowy - cmoknęła oburzona własnymi słowami bądź wspomnieniem.

O podróżach państwa Zielińskich dyskutowaliśmy do późnego wieczora. W toku rozmowy zapomniałem o książkach i naprawdę cieszyło mnie powodzenie i samozadowolenie staruszków. Oni zaś próbowali namówić mnie do dwu oczywistych dla nich rzeczy: założenia wycieczkowej firmy w Penangu oraz powrotu do kraju, gdy tylko zarobię kilkanaście tysięcy złotych czy też ringgitów, co na jedno wychodzi. Zaoferowali nawet na początek mieszkanie i pomoc w Warszawie. Tymczasem umówiliśmy się na następne spotkanie i pożegnawszy się poszedłem do schroniska Mister Soona. W pokoju zredagowałem na moim starym laptopie treść ulotki reklamującej przedsięwzięcie turystyczne, choć wcale tak do końca nie byłem jeszcze przekonany.

5

Nazajutrz, gdy wyszedłem z pokoju zapalić pierwszego papierosa, na tarasie siedział Japończyk o utlenionych w pasemka włosach, z którym poprzedniego rana uciałem sobie pogawędkę. Uśmiechnął się rozradowany; fascynował się językiem angielskim i europejską kulturą.

Mimo wczesnej pory dzień był duszny; nawet papugom nie chciało się dziobać ziarenek słonecznika, które rzucał im na trawę. Usiadłem obok i przewyciężając sen zaciągnąłem się głęboko dymem.

Żona Mister Soona, widząc mnie na nogach, bez pytania przyniosła po paru chwilach kubek kawy gotowanej z mlekiem. Podałem jej monetę jednoringgitową. Uśmiechnęła się w podziękowaniu, lecz nie odezwała się ani słowem. Jej głos słyszałem tylko wtedy, gdy po hokkieńsku zwracała się do męża i dzieci. Niewątpliwie rozumiała język angielski, ale może nie miała odwagi mówić, a może zabronił jej Mister Soon.

Japończyk spojrział na książkę, którą przyniosłem z sobą.

- Heinrich Boll: „The Silent Angel“. O drugiej wojnie światowej w Europie - wyjaśniłem.

Była to jedna z najdziwniejszych wojennych książek, jakie czytałem. Właściwie o wojnie nie ma w niej wiele, lecz od pierwszej strony czuje się depresyjną atmosferę zniszczenia, niesprawiedliwości, niepomiernej krzywdy, jakiej doznali Niemcy.

Boll, który sam spędził sześć lat na froncie, napisał tę swoją pierwszą powieść w 1951 roku, lecz w owym czasie żaden wydawca nie odważył się jej opublikować. Rany były zbyt świeże, ślady destrukcji, tak materialnej w zbombardowanych miastach, jak i psychicznej w zbiorowej niemieckiej mentalności - zbyt widoczne. Książka ukazała się dopiero w roku 92, i to raczej jako swoisty hołd dla zmarłego już pisarza, w dwudziestą rocznicę przyznania mu nagrody Nobla.

- Niemcy wciąż nie lubią mówić o tej wojnie - zerknąłem na Japończyka, który czytał wybrane ustępy książki. - Boll był inny. Chciał wykazać, że w tym barbarzyństwie ostało się człowieczeństwo, że ludzie nadal spieszyli sobie z pomocą, lekarze leczyli chorych, zakonnice troszczyły się o sieroty. Osiem milionów Niemców

straciło życie. A ty? - zajrzałem mu w oczy. - Możesz swobodnie rozmawiać o tej wojnie?

Spojrzał na mnie jak Niemiec.

- W zasadzie kompleksu wojny nie mam.

- A jednak okrucieństwo Japończyków na pobrytyjskich Malajach było straszliwe. O ile wiem, mścili się najbardziej na Chińczykach za ich przedwojenną z nimi wojnę - nie ustępowałem.

- Masz rację, trudno tamte czasy dzisiaj pojąć - odparł przepędzając komara, który usiłował usiąść mu na twarzy. Wzdrygnął się. - Malaria! Martwe powietrze.

Prawda, powietrze zdawało się gęstnieć coraz bardziej, nie poruszał się żaden listek na drzewach przed schroniskiem. Niebo zasnulo się białoszarymi chmurami.

Japończyk był młody - wojny oczywiście nie pamiętał - może dwudziestoletni, w szaroróżowej koszulce nike, która jeszcze przed chwilą była biała. Różowiła się teraz, przyklejona szczelnie do skóry na piersiach, zaznaczając ich muskularny kontur, i pod pachami, i na zdrętwiałych, sztywnych plecach, wzdłuż ramion i łopatek.

Małym ręcznikiem otarł błyszczące czoło i twarz, przymknął skośne, głęboko osadzone oczy, by osuszyć powieki, po czym spojrzał trwożliwie na wiatrak u sufitu, jak gdyby obawiał się, że zerwie się on nagle do lotu albo gorzej - że zawiśnie w bezruchu i ciężka masa powietrza zawiśnie w bezruchu nad naszymi umęczonymi ciałami.

- Opowiadał mi raz stary człowiek w Melbourne, który przeżył wojnę na wsi, niedaleko od Dachau, że los rzucił go do bauera, który był na froncie i którego żona otrzymała od państwa przydział na mężczyznę do pomocy. Po wojnie chciała, żeby się z nią ożenił, bo tamten oczywiście poległ, lecz on garnął się do wojska. Amerykanie nie mogli poradzić sobie z wyzwolonymi niewolnikami, którzy mszcząc się na Niemcach gwałcili Niemki. Wymyślili nabór do ochotniczych oddziałów porządkowych. Ów człowiek dosłużył się stopnia sierżanta, lecz, jak twierdził, nie był głupi: na ochotnika zgłosił się do rezerwy, gdy wybuchła wojna koreańska.

- Przynajmniej szczerze się przyznał. U nas za tchórzostwo musiałyby oddać jelita.

- Spotkałem wielu ludzi, którzy otaczali się swą kombatancką sławą. Odróżnić ich od prawdziwych bohaterów było niezwykle łatwo: z granatem w zębach, strzelali z obu rąk jak Rambo, łuski sypały się wokół nóg, tworząc górę jak na filmie z Charlie Sheenem, a szyje wyciągali ze złomu jak żyrafy w hełmach.

Roześmiał się gardłowo i sztucznie, najwyraźniej chcąc sprawić mi przyjemność. Ze schroniska wyszła Jenny, Kanadyjka z parteru, i tanecznym krokiem, w dwuczęściowym stroju bikini, ruszyła na plażę. Miała nieproporcjonalnie wielkie piersi. Powiedli za nią wzrokiem malajscy robotnicy, którzy na uliczce wymieniali krawężniki.

- Silikony - rzucił Japończyk.

W Batu Ferringhi widok półnagich kobiet nie budził tak wielkiej sensacji jak w Butterworth czy na Pantai Bersih, w lądowej części miasta, gdzie turyści pojawiali się rzadko. Zakompleksione fantazje erotyczne wywoływały wśród Malajów skłonności do gwałtu, lecz był to temat tabu, jak alkoholizm Hindusów i prostytutka Chinek. Media milczały. Milczały także okryte wstydem malajskie żony, córki i wnuczki.

Jenny rozłożyła ręcznik na piasku i siadając na piętach, zaczęła gładzić dłońmi fałdy i nierówności. Robotnicy na dobre wstrzymali pracę i zapewne oddechy. Wyglądało, że za chwilę się poduszają. Jeden, najwyraźniej najmłodszy, szepnął coś do ucha stojącemu po sąsiedzku. Ten poprawił na głowie białą welwetową czapeczkę songkok.

Japończyk spojrzał na mnie, rozbawiony zachowaniem robotników, tym razem szczerze, po czym powiedział:

- To jest swoista schizofrenia.

- Wojna?

- Ci ludzie. Malezyjczycy rozdarci na dwa światy: wasz Zachodni i nasz Wschodni. Wasz zły i nasz dobry. Wasz ponętny, bo nieznany i nasz nudny, bo swojski. Malezję zalewają koncerty Coca Coli i Levi Straussa. W Butterworth widziałem fabrykę Seagate, w Kulim - Intela. Cash & Carry buduje supermarkety. Premier Mahathir krzyczy do widzów: „Nie patrzcie na Zachód! Patrzcie na Wschód!”

- Chodziłem kiedyś w Melbourne do szkoły z Turczynką. Piękna dziewczyna, śniada twarz, kruczoczarne włosy. Urodziła się w Niemczech i uważała się za Niemkę. Zwłaszcza od czasu, gdy jako nastolatkę rodzice wywieźli ją do Australii... W Los Angeles spotkałem Austriaka, który nazywał się Ahmed bin Zabu. Turcja też jest rozdarta.

Japończyk spojrzał przed siebie. Jenny zanurzyła się w wodzie do połowy ud. Robotnicy usiedli w szeregu, songkok w songkok.

- A ty kim się czujesz? Polakiem czy Australijczykiem?

- Oczywiście, że Polakiem, chociaż trochę pokiereszowanym. Ale tak naprawdę poczułem się dumny ze swego pochodzenia dopiero w Los Angeles. Był to czas amerykańskiej interwencji na Haiti. Prezydent Clinton uzasadniał w telewizji konieczność tej interwencji. Powiedział: „Naszą akcję poparły nawet takie państwa jak Bangladesz i Polska”. Zabolalo mnie to do żywego. Lecz Clinton pokazał mi coś zadziwiającego: wielkość Polski na mapie świata. Proporcje. Wtedy naprawdę wyleczyłem się z kompleksu niższości.

Jenny rzuciła się w fale i zaczęła wiosłować swymi potężnymi ramionami. Robotnicy wyciągali szyje. Japończyk ugryzł jabłko.

- A ty? Czujesz się choć trochę Chińczykiem? - zapytałem.

Zakrztusił się twardym kęsem.

- Ja? Na głowę upadłeś?

- Wielu Chińczyków twierdzi, że kultura japońska wywodzi się z kontynentu.

- Fanaberie z tą kulturą. Kto skąd, kto kogo... Chińczycy mają świra. Chińczycy myślą, że wymyślili na świecie wszystko.

- Są w błędzie. Na świecie wszystko wymyślili Żydzi - zauważyłem polubownie.

- Albo Amerykanie. Zobacz, ona się utopi!

Jenny odpłynęła tak daleko, że widać jej było tylko głowę. Robotnicy wylegli na skraj plaży i porobili z dłoni daszki.

- Założę się, że co drugi myśli teraz, żeby ją wyłowić i zrobić sztuczne oddychanie - powiedział Japończyk.

Nagle na tarasie pojawił się stary Chińczyk w bejsbolowej czapeczce na głowie, z otwartą torbą podróżną na długim pasku na ramieniu.

- Coca cola, coca cola! - zakrzyknął. - Piwo, piwo - dodał konspiracyjnie, pochylając się nad moim fotelem.

Twarz miał zniszczoną nie tyle wiekiem, co raczej burzliwymi przeżyciami. Spod czapeczki wylaniały się nie uczesane włosy, nie uczesane ani tego rana, ani poprzedniego. Czuć było od niego zapach moczu, zapach fermentującego potu, zapach na pół przetrawionego piwa, co razem dawało zapach gnoju.

Japończyk spojrzał na mnie i wymieniliśmy gorzkie uśmiechy i grymas ust, rysujący ni to pogardę, ni współczucie. Wymianę spojrzeń błyskawicznie zauważył Chińczyk i być może widząc szansę na zarobek, wnikliwie staksował nasze twarze, po czym wyrwawszy z torby dwie puszkę piwa, zwrócił się najpierw do mnie, a gdy odmówiłem - do Japończyka.

Ten nie odmówił. Wcisnął obie puszkę pomiędzy nogi i z kieszeni dzinsów wyszperał zwitek pomiętych banknotów. W oczach starca błysnęła radość. Przysiadł się z boku Japończyka, starannie ustawił torbę na podłodze pomiędzy stopami i sięgnął po jeszcze jedną, wcześniej napoczętą puszkę. Japończyk otworzył swoją i podał mi drugą, z tym samym co wcześniej uśmiechem na twarzy.

- Pierwszy raz w Malezji? - Chińczyk zapytał najpierw Japończyka, potem mnie, odwracając jak aktor głowę w kierunku naszych twarzy.

Pierwszy odpowiedział Japończyk, potem ja.

- Będzie padać. Pozwolicie, że odpocznę chwilę?

Japończyk skinął głową, potem ja. Puszka momentalnie nagrzała mi się w dłoniach. Poczulem lekkość potu.

- Jestem Chińczykiem, lecz urodziłem się tutaj, w Penangu.

- Jestem Polakiem, lecz mieszkam... mieszkałem w Australii.

- Jestem Japończykiem, studiuje w Singapurze.

- O Polakach wiem niewiele - powiedział Chińczyk. - Ale przed Japończykami bronilem Malezji, no, wtedy to były jeszcze Brytyjskie Malaje. Wraz z Australijczykami, których przywieziono z Darwin. Najpierw byłem w regularnej armii, w czterdziestym drugim zaciągnąłem się do partyzantki, a potem trafiłem na „kolej śmierci”.

Zastanowiłem się przez chwilę, czy podsłuchał naszą rozmowę, czy zbiegiem okoliczności poruszył ten ciężki temat. O „kolei śmierci” czytałem. Posługując się jeńcami wojennymi i chińską ludnością cywilną, Japończycy budowali linię kolejową w Birmie. Jednak stary Chińczyk wydawał się zbyt młody, aby brać udział w tamtych wydarzeniach. Może pamiętał te czasy z dzieciństwa, może chcąc zwrócić na siebie naszą uwagę, po prostu kłamał? Może był jednym z tych, którzy sądzą, że w ich życiu nic ważnego się nie dzieje, więc dodają sobie pieprzu?

- Po wojnie wróciłem do partyzantki i biłem się przeciwko Anglikom. Anglicy chcieli oddać kraj Malajom. Biłem się przeciwko Malajom o wolne Malaje. Anglicy wciągnęli do wojny Hindusów, których nienawidzili Malajowie i my Chińczycy. W dżungli kryli się Japończycy, którzy też walczyli o wolne Malaje, wolne, to znaczy cesarskie. Ci byli najgorsi - zamilkł na chwilę i wsunął koniuszek języka w otwór puszkę. Był to język zbrązowiały od nadmiaru żółci, którą wydalala schorowana wątroba. - Wam młodym trudno te czasy pojąć.

Japończyk znów spojrzał na mnie jak Niemiec.

- Anglicy założyli obozy koncentracyjne dla Chińczyków. Mówiło się: nowe wioski. Spędzili całe rodziny. Obawiali się komunistycznych partyzantów, których nasyłał Pekin. Pekinczycy mieli najnowsze radzieckie uzbrojenie, napadaliśmy na nich, bo u nas z bronią było krucho. Oni napadali na nas, bo myśleli, że jesteśmy z Anglikami. Anglicy schwytanych Chińczyków deportowali do Chin. Mnie nie schwytali, choć raz było blisko, gdy wszedłem na minę. Dlatego przeżyłem, bo tych, którzy trafili do Chin, Chińczycy, jako szpiegów, stawiali pod ścianą. Mina odrzuciła mnie do jaru i gdy się ocknąłem, nikogo już nie było. Wyrwało mi pół łydki i strzaskało kolano. Pokazać?

- Nie trzeba - odpowiedział Japończyk, wachlując się ręcznikiem. Chińczyk cofnął rękę z nogawki spodni, którą chciał podwinąć.

- Schwytali mnie Malajowie w wiosce, do której poszedłem po pomoc. W ostatniej chwili rzuciłem granat i trzech stojących najbliżej rozerwało na strzępy. Mnie odłamek rozharatał głowę. Tutaj, z prawej strony - zdjął czapkę i zbliżając się najpierw do Japończyka, a następnie do mnie, wskazał palcem miejsce pod skołtunionymi włosami. - Wywieźli mnie z wioski Tamilowie i ukryli w dżungli. Raz dziennie przychodziła Tamilka obmywać mi rany. Gdy poczułem się lepiej... - niespodziewanie wybuchnął krótkim śmiechem i uczynił znaczący gest, po czym dodał: - Chciała, żebym został w wiosce, ale Tamilowie chyba by mnie zabili - zamyślił się, widać rozpamiętując te chwile z Tamilką.

Jenny zawróciła.

- W partyzantce byłem do sześćdziesiątego dziewiątego, gdy Chińczycy wygrali wybory do parlamentu. Malajowie myśleli, że Malaje, no wtedy to już była Malezja, będą teraz chińskie. Chińczycy w Pekinie i Malezji też tak myśleli. Ale ktoś zaczął rewoltę. Malajowie krzyczeli: „Żółtki do ryżu!”, Chińczycy: „Małpy na drzewa!”, Hindusi: „Tamilowie na Cejlon!”, Tamilowie: „Hindusi do pieca!” Posypały się kamienie, domy stały w płomieniach! Miałem przyjemność z trzema Malajkami, dwiema Tamilkami i siedmioma Hinduskami. Malaj wyruchał mi żonę.

Jenny wyszła na brzeg. Robotnicy usiedli na piasku.

W opowiadaniu Chińczyka zawarła się właściwie najnowsza historia tego kraju. Od czasu, gdy w pięćdziesiątym siódmym roku premier rządu Abdul Rahman zakrzyknął na Stadionie Niepodległości w Kuala Lumpur: „Merdeka! Merdeka!” i Brytyjczycy oddali władzę, Malezję wypełniały etniczne niepokoje. W osiemdziesiątym siódmym roku udało się zapobiec czystkom i samosądom; Mohamad Mahathir zawczasu aresztował najważniejszych chińskich opozycjonistów. W dziewięćdziesiątym ósmym roku, gdy antychińska rewolta wybuchła w Indonezji, apelował o zachowanie spokoju. Malezji nie stać na rozruchy! Malezja jest jednym z azjatyckich tygrysów gospodarczych! W ogłoszonym rządowym programie reform Vision 2020 zapowiedział wprowadzenie kraju do kręgu państw w pełni rozwiniętych.

Powiedziałem do Chińczyka:

- Właściciel baru na rogu, Malaj, żartował kiedyś, że zabrakło świeżych ryb, gdyż wszyscy rybacy są Hindusami. Ktoś inny tłumaczył się, że zabrakło gazet, gdyż gazeciarzami są także Hindusi. W podobny sposób żartowali Macedończycy i Serbowie w Jugosławii. Potem wybuchła wojna i żarty się skończyły.

- Nacjonalizm zawsze wywoływał wojny - rzekł Chińczyk. - Tutaj wszystkiemu winni są Brytyjczycy, którzy stosowali starą, sprawdzoną metodę „dziel i rządź”. Faworyzowali Chińczyków, z którymi zawsze robili dobre interesy, z Cejlonu sprowadzili Hindusów, wiernych sług i robotników kolejowych i rolnych. Aby sprawować władzę nad Malajami, wystarczyło skłócić sułtanów, ofiarować skrzynię złota temu, kto najmniej zasługiwał na imperialne wyróżnienie. Czasem, jak przez wentyl bezpieczeństwa, warto było skierować nienawiść na Chińczyków, którzy kosztem malajskiej ciemnoty dorabiali się okazałych fortun, wierzyli w osiemnastopoziomowe piekło i jedli świnie. Teraz Mahathir próbuje zlepić trzy narody w jeden.

Jenny minęła grupę robotników i usiadła na rozłożonym ręczniku, lecz widać zawstydzili ją te męskie spojrzenia, bo wstała i udała się w stronę schroniska. Zbliżywszy się zauważyła mnie na tarasie, pomachała radośnie dłonią i uśmiechnęła się na powitanie tak serdecznie, jak gdybyśmy od dawna byli przyjaciółmi.

Stary Chińczyk przyjrzał mi się z uwagą, po czym powiedział:

- Wiesz, gdybyś musiał pociupać... - w jego oczach zabłysnął jakiś ognik - mam parę ładnych dziewcząt.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął z kieszeni zatłuszczony brulionik i podał mi kartkę z jakimś adresem w Georgetown.

- Pytaj o Ho Chen. Dostaniesz rabat.

Dokończył piwa, zarzucił torbę na ramię i bez słowa pożegnania poszedł handlować dalej. Po chwili podniósł się także Japończyk.

- Jadę do Świątyni Śpiącego Węża. Nie chcesz mi towarzyszyć?

- Mam już plany na dzisiaj - minąłem się z prawdą.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem - uklonił się po japońsku i odszedł.

Postawiłem na stoliku nie napoczętą, rozgrzaną w dłoniach puszkę piwa i wróciłem do książki Heinricha Bolla, lecz gdy tylko pochłonał mnie świat ruin i głodu, na taras weszła żona Mister Soona, trzymając w dłoni słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

Dzwonił Che i zaprosił mnie tego popołudnia na spotkanie w Towarzystwie Czerwonej Swastyki. Z Szanghaju przyjechał dygnitarz nazwiskiem Low Fu, aby wygłosić swą doroczną prelekcję na temat inwestycji w zmieniającej się z dnia na dzień coraz mniej ludowej ojczyźnie. Zaproszenie przyjąłem z najszczerzą uciechą.

- Przyjedziemy po ciebie o drugiej.

6

W budynku Towarzystwa Czerwonej Swastyki w Georgetown zebrało się kilkaset osób. Aula wypełniona była po brzegi krzesłami, rozmieszczonymi w szeregach i rzędach. Na podium ustawiono długą ławę, przykrytą aż do podłogi czerwonym sukniem, na którym widniały dwa wymalowane na złoto chińskie znaki. Pei Ling wyjaśniła: Xing Fu, szczęście i bogactwo. Po paru minutach sala ucichła i jakiś elegancki mężczyzna, najpewniej ów dygnitarz Low Fu rozpoczął przemówienie.

Asystowała mu dwudziestoparoletnia sekretarka. Stała z boku mównicy, wyraźnie znudzona, rozglądając się po sali, jak gdyby miała nadzieję, że nastąpi co najmniej trzęsienie ziemi. Wyglądała raczej jak wyrośnięta uczennica niż sekretarka komunistycznego aparaczyka. Drobnej budowy ciała, o subtelnych, eleganckich ruchach, w granatowej sukience z białym kołnierzykiem, uśmiechała się, ilekroć zbliżali się do niej fotoreporterzy „New Straight Times” i „The Star”.

Siedziałem w czwartym rzędzie od prezydialnego stołu i mównicy. W innych okolicznościach niknąłbym wśród wielu par oczu wpatrzonych w postać Low Fu, lecz ponieważ byłem jedynym wśród zebranych nie-Chińczykiem, nie trudno było dostrzec moją odmienność.

Spojrzała na mnie akurat w chwili, gdy nie rozumiejąc ani jednego słowa przemówienia, znudzony podobnie jak ona, zastanawiałem się, czy kocha się ze swoim szefem, a jeśli tak, to czy z własnej woli, czy też leży to w zakresie jej nieoficjalnych obowiązków. Trudno powiedzieć, że wyobraziłem sobie tę scenę, lecz widać musiałem wlepić w nią oczy cokolwiek nazbyt nachalnie, bo uśmiechnęła się ni to rozbawiona, ni z politowaniem, trochę zawstydzona. Wyraźnie polechtało jej próżność zainteresowanie ze strony wysokiego na ponad półtora metra orang puteh, jak w Penangu nazywa się Europejczyków, czy też długonosego, owłosionego orangutana. A może po prostu zaciekało ją, co robię w takim miejscu.

W przerwie przedstawiła nas Pei Ling, która poznała Tracy poprzedniego dnia na nieoficjalnej konferencji w hotelu Golden Sand. Właściwie jej mandaryńskie imię naprawdę brzmiało Tai Shi, lecz już w pierwszych słowach stało się jasne, że jak większość Chińczyków jej pokolenia, była zafascynowana kulturą Zachodu, a w szczególności wszystkim, co anglojęzyczne. Dołączył do nas także Low Fu i przez parę minut wymienialiśmy uwagi na temat przyszłości Chin, po czym nastąpiła druga część spotkania.

Po prelekcji, w pięciorko dwoma samochodami, pojechaliśmy na kolację do tamilskiej restauracji na promenadzie, nieopodal ruin Fortu Cornwallis. Pomimo dość okrągłej łysiny i siwiejących skroni Low Fu okazał się dużo młodszy ode mnie - z metryki i chyba także duchem. Oficjalny i poważny na spotkaniu w Towarzystwie, przy kolacyjnym stole zachowywał się swobodnie, tryskał humorem, opowiadał całkiem kwaśne dowcipy o komunistycznych prominentach i równie zabawne anegdoty o swych szanghajskich przełożonych. Widać było wyraźnie, że jak każdy aparaczyk u schyłku systemu, tyle miał wspólnego z komunizmem, co i cały system. Nie zdając sobie sprawy, że wychowałem się w Polsce, a więc dobrze znałem hipokryzję i podwójną moralność partyjnych aktywistów, próbował przedstawić się w roli światłego reformatora, którego naczelnym zadaniem w państwie jest balansowanie pomiędzy wstecznictwem twardegłowych dinozaurów a szaleństwem otumanionej, wyjałowionej intelektualnie ulicy. Zdawał się z każdym wypowiedzianym słowem upajać miłością własną. Szkoda, że urodził się w komunistycznych Chinach, a nie na przykład w stosunkowo demokratycznej, z pewnością wolnorynkowej Malesji, gdyż byłby zapewne daleki od polityki, nie w polityce, lecz w rodzinnym, odziedziczonym po ojcu i dziadku interesie dawałby upust swym zdolnościom. W Chinach jednakże sukces łatwiej było osiągnąć w prowincjonalnej polityce niż w biznesie, w polityce ponadto inwestowano idee, nie twardą walutę, idee zaś chronione były gwarancjami rządowymi, rząd chroniony był tym, co zaszło na placu Tiananmen, plac - czołgami,

czołgi - rządem. Dla młodego, dobrze wykształconego Chińczyka wybór musiał być prosty: kariera w aparacie, za którą szły przywileje i pieniądze.

Wykazywał przy tym jeszcze jedną charakterystyczną cechę: był mianowicie niebywale zakompleksiony. Fakt, że - w jego mniemaniu - jestem Australijczykiem, odbierał mu momentami pewność siebie, co wynikać mogło z poczucia niższości nie tyle wobec białej rasy odwiecznych "panów", w końcu pochodzenia brytyjskiego, a wiadomo, co zrobili Brytyjczycy Chińczykom w Szanghaju podczas wojny opiumowej, co zrobili w Hongkongu i w Formozie, co raczej wobec wyimaginowanej, wziętej za dobrą nomen omen monetę zawartości portfela. W Szanghaju był Low Fu, jeśli nie krezusem, to z pewnością przyszłym bogaczem, tutaj zaś, w dewizowym Penangu, gdzie puszka coca coli kosztowała połowę dniówki szanghajskiego robotnika, musiał czuć przepaść dzielącą te dwa światy.

Gdy w pewnej chwili wyjawiałem, że właściwie zatrzymałem się w Malezji w drodze do Chin, gdzie zamierzałem podjąć pracę, i to pracę za miejscowe wynagrodzenie dwu tysięcy yuanów miesięcznie, osłupiał, osłupiał ze zdumienia. Było dla niego niepojęte, że dobrowolnie pchałem się do kraju, z którego miliard ludzi najchętniej by uciekło.

Nie skrywała zaskoczenia również Tracy, która dotąd, jak przystało na wzorową asystentkę, sumiennie milczała.

- Dlaczego? - wyrwało jej się pytanie tak naiwnie brzmiące, a jednocześnie pełne spontanicznego, najszczerzego protestu, że natychmiast skarcił ją wzrokiem Low Fu.

Posłużyłem się wymijającą odpowiedzią, że zawsze interesowały mnie Chiny, że pragnę Chinom pomóc w ich pełnej zakrętów i pułapek drodze do gospodarczej prosperity, że jak większość ludzi wolnego świata, chcę dołożyć swą własną, drobną cegielkę do pomostu wzajemnego porozumienia, który budujemy wszyscy.

Low Fu zamyślił się na moment, analizując moje słowa, które wydać mu się musiały nazbyt sztandarowe, trącające albo dobrze skrytą kpina, albo niebezpieczną naiwnością, by nie powiedzieć: głupotą. A to, że Low Fu cierpiał na obsesyjną podejrzliwość, było dla mnie oczywiste. Low Fu zachowywał czujność - pierwszy najważniejszy element swej prywatnej egzystencji.

- Tak, Chiny potrzebują dzisiaj współpracy z Zachodem - wyznał po chwili. - Zwłaszcza potrzebujemy ekspertów high-tech. Chińska tradycja, kultura, potencjał ludzki i wasza technologia. Razem działamy więcej niż osobno.

- Oczywiście. Najpierw chleb dla ludzi, potem wolność - odparłem prowokacyjnie.

Znów spojrzał na mnie w zamyśleniu.

- Powtórzenie katastrofy rosyjskiej byłoby w Chinach o wiele bardziej wstrząsające. Kryzys chiński mógłby spowodować nieobliczalne skutki. Ludzie tak naprawdę są nieobliczalni.

Kelnerka wniosła plater rybek w sosie curry.

- Pozwól, że zapytam, w jakim charakterze będziesz u nas doradcą?

- Chcę pracować z młodzieżą jako nauczyciel języka angielskiego.

Tym razem Low Fu uczynił dłuższą niż dotychczas chwilę przerwy. W chińskiej mentalności status nauczyciela nie cieszył się społecznym uznaniem, szczególnie status anglisty. Anglistów właśnie, jak i nauczycieli wszystkich

Zachodnich języków w pierwszym rządzie wyniszczyła rewolucja Mao. Fabryczny tokarz miał często wyższe poczucie własnej wartości niż uniwersytecki nauczyciel.

- Jest to, jak widzę, nie lada zadanie uświadamiać naszą młodzież. Musisz być ostrożny, aby nie narazić się miejscowej służbie bezpieczeństwa. Dam ci radę: nigdy, ale to nigdy nie dyskutuj na temat religii i broń Boże, nie krytykuj oficjalnej polityki państwa - przez parę chwil kontynuował swój monolog, żywcem wyjęty z podręcznika nauk społecznych.

Coraz bardziej przypominał mi pezetpeerowca, I sekretarza komitetu gminnego w moim miasteczku, Jacka, towarzysza Jacka Rutlewskiego, z którym przez całe dwa lata przed ucieczką z Polski współpracowałem. Towarzysz Jacek był ode mnie niewiele starszy, jednak należeliśmy do dwu odmiennych pokoleń. On mężczyzna jak z Zachodniego żurnala, ubrany od stóp do głowy w sklepie Peweksu, absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Moskwie, od lat, jak z dumą powtarzał, zatrudniony w aparacie. Ja - początkujący, niedouczonego nauczyciel w podstawówce imienia Waryńskiego, a dodatkowo, z racji zaufania, jakim cieszył się w partyjnych kręgach mój ojciec, protegowany Jacka.

W chwilach poufałości roztaczał przede mną szerokie wizje, że gdy skończę zaoczne studia, popracuję parę lat i zostanę dyrektorem; że w odpowiednim czasie on załatwi mi mieszkanie, talon na fiata, że wyjdę na ludzi.

Pod jego patronatem przygotowywałem obchody nadania szkole imienia Waryńskiego. Miała to być połączona, wielka, wielka impreza na miejskim stadionie, zakończona potańcówką dla dzieci i popijawą dla opiekunów w restauracji Świtezianka. Jednym z zadań było „przybliżenie młodzieży życiorysu patrona szkoły, wielkiego działacza ruchu robotniczego”. Dzieci uczyły się na pamięć, jakim to dzielnym człowiekiem był Waryński, choć nawet z oficjalnego życiorysu wynikało, że nie był. O ile pamiętam, nigdzie nie mógł zagrześć miejsca, nie pracował, zrobił kobiecie dziecko i uciekł do Szwajcarii, gdzie popadł w nałóg alkoholowy. Dzieci, rozdarte pomiędzy nauką księdza na religii w kościele a nauką w szkole, pytały, jak to było możliwe, że nasz patron nie był żonaty, a miał dziecko. Zwróciłem się z tym problemem do Jacka. Spojrzał na mnie nieufnie, podejrzewając pewnie dobrze ukrytą kpinę bądź głupotę.

Tak czy owak impreza odbyła się z pompą, dopisała pogoda, przybyli goście z Województwa, spędzono okolicznych rolników indywidualnych i robotników rolnych z PGR-u, którym Jacek przypinał do kłap nie wyprasowanych marynarek medale „Zasłużonego Rolnika PRL”. Popłakali się chłopcy ze wzruszenia, że po latach znoju jednak doceniła ich ojczyzna. Sobie i kolegom wręczył cichcem nagrody pieniężne w wysokości sześciomiesięcznej pensji. Mnie natomiast obiecał, że gdy będę się mocno starał, to i ja następnym razem dostanę. Nie wyjaśnił jednak, czy nagrodę pieniężną czy medal.

Nie doczekałem, gdyż właśnie załatwiłem sobie paszport. Jacek, gdy się dowiedział, był wściekły. Wezwał mnie do swojego gabinetu w komitecie i nawymyślał od nieodpowiedzialnych szczeniaków, że on mi chciał studia załatwić bez egzaminu, że on we mnie wierzył, że ojciec mój wstydzić się powinien takiego jak ja syna. Wysłałem mu później z Australii pięć kilo bananów w paczce i tabliczkę czekolady z orzechami i rodzynkami.

Low Fu radził dalej:

- Służba bezpieczeństwa może uprzykrzyć ci życie. Gdy tylko nabiorą podejrzeń, że indoktrynujesz młodzież, odizolują cię, zabronią studentom spotykać się z tobą poza szkołą, zaznasz w Chinach samotności, która równa jest powolnej śmierci.

Tracy spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć, że zwariowałem. Low Fu zapytał:

- Gdzie studiowałeś?

- Skończyłem College of TAFE w Footscray - odparłem zgodnie z prawdą, choć raczej mętnie.

Rzeczywiście, skończyłem kurs o nazwie English for Academic Purposes, miałem całkiem okazały dyplom, który stał się podstawowym dokumentem w moich staraniach o pracę w Chinach. Warunkiem, jaki stawiał Uniwersytet Szanksi, był paszport australijski, dla uniwersyteckich biurokratów - dowód urodzenia w Australii, a więc posługiwania się językiem angielskim z naturalnym australijskim akcentem, oraz dyplom TEFL, czyli Teaching English as a Foreign Language. Dyplomy TAFE, Technical And Further Education, i TEFL wyglądały podobnie, różnica polegała na tym, że ja skończyłem kurs językowy dla imigrantów.

- Tak, tak, słyszałem o tej renomowanej uczelni. Musi mieć ona wiele oddziałów.

- To przesada. TAFE to rodzaj szkoły, mniej więcej jak high school, nie zaś nazwa własna.

- Skromność to piękna zaleta - uśmiechnął się protekcyjnie, po czym dodał: - Kiedy będziemy cię gościć?

Wyjaśniłem, że od dłuższego czasu przeciągały się moje pertraktacje z ambasadą chińską. Gdy kilka miesięcy wcześniej znalazłem na Internecie ogłoszenie o naborze i wysłałem wstępną ofertę, Mistress Hanna, jak podpisywała elektroniczne listy koordynator kadrowy uniwersytetu, była optymistką zapewniając, że otrzymam bezpłatne dwupokojowe mieszkanie na terenie szkoły, bilet lotniczy w obie strony, oficjalne zaproszenie, kontrakt na dwanaście miesięcy i oczywiście wyższe od przeciętnego, zwolnione od podatku wynagrodzenie. Tymczasem poza faksem zaproszenia nie otrzymałem niczego, a w ambasadzie żądano dwustu pięćdziesięciu dolarów za wizę i stu dwudziestu za przeprowadzenie badań lekarskich. Nawiasem mówiąc, badania kosztowały w Penangu niecałe sześćdziesiąt dolarów. O bilecie na samolot nikt nie wiedział, a Mistress Hanna, gdy ją o to po raz kolejny nagabywałem, nie bardzo rozumiała, o co mi naprawdę chodzi. Mógłbym ostatecznie do Chin pojechać pociągiem, lecz i w tym wypadku urzędniczka ambasady nie mogła mi pomóc, bo musiałbym - pociągiem czy autobusem - przejechać przez zakazane strefy wojskowe na pograniczu chińsko-wietnamskim oraz w głębi kraju, a na to zgodę musiało wydać dowództwo wojsk lądowych w Beijingu. Jednak mimo że wniosłem stosowną opłatę, zgoda nie nadchodziła.

Low Fu znów uśmiechnął się protekcyjnie.

- W życiu wielką rolę odgrywają przypadki. Jesteś szczęściarzem, że trafiłeś na mnie. Potraktuj sprawę jako załatwioną. Jutro zatelefonuję do Szanghaju i porozmawiam z kim trzeba. A propos, byłeś w Szanghaju? Zapraszam do siebie, niewiele zбочysz z drogi.

Kolacja z wolna dobiegła końca. Rachunek mimo moich protestów uregulował Low Fu, ostentacyjnie i z nieskrywaną dumą kładąc na talerzyku złotą kartę American

Express. Tracy i Pei Ling wyszły na parę minut do toalety, pomiędzy Low Fu, Che a mną zawisło uciążliwe milczenie, które przerwał dopiero powrót kelnerki. Low Fu podpisując rachunek pławiał się w bezgranicznym samozadowoleniu.

- Wasza technologia, nasz potencjał - spojrział na mnie, wręczając jednocześnie kelnerce spory napiwek.

Gdy wróciły dziewczęta, wyszliśmy na ulicę i stojąc przy samochodach długo żegnaliśmy się. Na kartce zapisałem moje dane z paszportu, numer telefonu i adres schroniska. Low Fu obiecał zatelefonować, gdy tylko otrzyma wiadomość z Szanghaju.

- W środę lecimy do Singapuru, ale w niedzielę będziemy już z powrotem. Do Szanghaju wracamy w następny poniedziałek. Będzie mi przyjemnie spotkać się raz jeszcze przed wyjazdem - uściskał mi dłoń i odblokował zamki samochodu.

Tracy, podając mi rękę, uśmiechnęła się smutno. Zdało mi się, że chciała coś powiedzieć, lecz skinęła tylko głową, odwróciła się i wsiadła do auta. Che otworzył drzwi od swojego samochodu i podał kluczyki Pei Ling.

- Chcesz prowadzić?

Usiadła za kierownicą.

- Tracy prosiła, abym ci to dała - położyła mi na kolanach, gdy usiadłem z tyłu, złożoną we czworo kartkę papieru. Odjechaliśmy w kierunku schroniska.

Wieczorem, siedząc na moim ulubionym wiklinowym fotelu na tarasie, długo myślałem o tym liście. Pei Ling i Che pojechali do domu, w pokojach i na korytarzu ucichły głosy, uspokoili się nawet trzej młodzi Anglicy, którzy właśnie dzisiaj wrócili z wysp Langkawi, przywożąc z sobą skrzynkę bezcłowej whisky. Uspokoila się także Jenny, której tego wieczora wyjątkowo dopisało poczucie humoru, lecz nie żołądek i głowa.

Poza tarasem czernił się widok smolistej nocy, skrytej za bambusową siatką oddzielającą schronisko od bananowego ogrodu i utwardzonej kamieniami uliczki. Z plaży dobiegał jednostajny plusk morza. W oddali, jak każdej nocy, z pewnością kołysały się na falach płynące z Sumatry kutry przemytników z nielegalnymi imigrantami, stłoczonymi w nieludzkich warunkach pod pokładem.

W napisanym pośpiesznie w kabinie toalety liście Tracy prosiła, prosiła błagalnie, abym zatelefonował dokładnie kwadrans po północy do recepcji hotelu Golden Sand. Wymknie się na ten czas z pokoju i sama podniesie słuchawkę. Miała niezwykle pilną sprawę do omówienia.

Trzymałem w dłoni przyniesiony z biura telefon i co chwila zerkałem na zegarek. Gdy wreszcie nadszedł czas, wybrałem numer i po chwili odezwał się jej podniecony głos:

- Przepraszam za tę idiotyczną konspirację, ale rozumiesz, Low Fu nie może się o tym dowiedzieć. Muszę się z tobą spotkać. Nie mam tutaj nikogo, nikomu nie ufam! Pomożesz mi? Nie chcę wracać do Chin, chcę być wolna, rozumiesz? Chcę być wolna!

Naelektryzowany tymi słowami, nie bardzo wiedziałem co począć. Dlaczego niby to ja miałbym być tym zaufanym? Nie znaliśmy się wcale. Przez cały wieczór wymieniliśmy raptem kilka słów. Dlaczego nie Pei Ling lub Che? Staram się o chińską wizę, nie potrzebuję konfliktów z ambasadą. Mam swoje własne problemy do rozwiązania.

- Możemy się spotkać? - zapytała przerywając przedłużające się milczenie.
- Może przyjdę do hotelu rano.
- Nie. Musimy spotkać się teraz. Low Fu zasnął już w swoim pokoju.
- Rzeczywiście, dziwna konspiracja.
- Otworzę ci drzwi przeciwpożarowe od strony parkingu. Idź w kierunku rampy dla samochodów dostawczych. Będę tam czekała.

Rozłączyła się, zanim zdążyłem powiedzieć, że śmieszy mnie ten jej eskapacyjny zamiar, choć z drugiej strony jak najbardziej ją rozumiem. Ja także kiedyś za wszelką cenę chciałem wyjechać z Polski. Ja także rozkoszowałem się jakąś abstrakcyjną wolnością, o której czytałem gdzieś w książkach - że istnieje. „Dwie twarze wolności” Lewandowskiego, studium skazanego w peerelowskim więzieniu. Urodziłem się w więzieniu, marzyłem o wolności, nie zastanawiając się wiele nad jej znaczeniem. Wolność to była zagranica. Ameryka, Niemcy, „Samotny rejs Opty” Leonida Teligi, „Poczta do Never-Never” Wolanowskiego. Młodzieńcze podróże palcem po mapie, trasy nakreślone flamastrem w zniszczonym atlasie świata. Wolność to znaczy przeskoczyć granicę. Co dalej? Wolność właśnie. Cel sam w sobie. I koniec. Definicji jest zapewne tak wiele, ilu poszukujących. Dla jednych to przestrzeń, dla innych istota przemijania czasu, który można w taki lub inny sposób spożytkować, dla jeszcze innych jest to umiejętność podejmowania decyzji i poczucie odpowiedzialności.

Znalazszy się w Australii, byłem kiedyś na szczycie świata. Fascynował mnie ten ład od morza do morza. W którąkolwiek udać się stronę, muszą minąć dni, zanim drogę odetnie jeden z czterech dalekich brzegów. Ale i na horyzoncie czai się wolność. Na falach oceanów, na tysiącu skrytych w bezkresnej przestrzeni wysp i wysepek, archipelagów nieskończoności. Wolność to Ziemia widziana z naszego księżycyca, to Ziemia widziana z Io i Europy - maleńki, błękitny punkt we wszechświecie. Wolność to granice wyobraźni. Wolność to anarchia.

Jakiej wolności pragnęła Tracy? Wolności od czego? Gdy byłem w jej wieku, nie wiedziałem, tak jak zapewne nie wiedziała Tracy, że wolności nie osiąga się łatwo, że nie wystarczy stanąć pośrodku wielkiego lądu i krzyknąć: jestem wolny! Wolność fizyczna bowiem nie jest jednoznaczna z intelektualną, pierwszej nie osiąga się poprzez drugą ani odwrotnie. Owszem, wolność fizyczna rozbudza pragnienie, pragnienie tworzy fatamorganę, ta z kolei, jak każdy rodzaj iluzji, pozostawia nienasylenie, niespełnienie, ucieczkę donikąd, niedokończony akt i zagubienie. Po latach przychodzi przebudzenie, człowiek staje na rozdrożu, na pograniczu dwóch iluzji, z których nie wiadomo jaką wybrać.

Szukając mojej wolności, trafiłem w końcu do Azji, na kontynent dyktatur samowładnych przywódców. Na ulicach Hongkongu widać transparenty: „Wolność dla Tybetu”. Tymczasem w ziemiankach na obrzeżach Lhasy ludzie zamiast panadolu spożywają pigułki z ekskrementów Dalaj Lamy. Na rajskiej wyspie Ko Samui dziewczęta, wolne od kajdan stanowionej moralności, sprzedają swe trzydziestopięciokilogramowe ciała - po niecałe sześć bahtów za kilogram; zapalki kosztują drożej. W Bangkoku do przechodniów krzyczą transparenty: „Naród kocha króla Bhumibola Adulyadeja”. Tymczasem przewodniki dla turystów ostrzegają, że kto króla nie kocha temu więzienie, legalnie - na siedem lat. Jednak Azja pełna jest Europejczyków, Amerykanów i Australijczyków, którym zbrzydła euroatlantycka

wolność. Obwieszani pacyfkami, w kolorowych chustach na głowach, jak spóźnione dzieci-kwiaty John Lennon i Yoko Ono, palą opium i kochają się na bezludnych plażach. A ja szukając swej wolności jechałem wprost do Chin, z których, także szukając wolności, pragnęła uciec Tracy. Nic dodać, nic ująć.

Poszedłem jednak w kierunku Golden Sand. Ulica była wyludniona, jedynie na mostku ponad strumieniem, w okręgu światła pełzającego z imitacji gazowej latarni, stała grupa młodzianów w songkokach. (W tym kraju nikt cię nie zaczepi - Jean-Paul. Mogłabym przejść miasto w środku nocy naga - Monique bez podkówki.) Przyglądali mi się ciekawie, gdy ich mijalem.

- Selamat malam! Selamat malam!

- Selamat. Selamat.

- Masz zapałki?

- Mam.

- A papierosa byś nie dał?

Zapaliliśmy. Błysnęły czerwone ogniki żaru.

- Mieszkaś u Mister Soona, prawda? - zapytał jeden z nich, sprawiający wrażenie najśmielszego. Miał charakterystyczny malezyjski akcent, podobny do tego, który słyszy się na falach radiostacji Light & Easy i w telewizyjnych reklamach.

- Mieszkam.

- Kręcisz z tą Jenny, prawda?

- Skądże. Znamy się od paru tygodni, to wszystko.

- Gadanie! - zaśmiał się, dając przykład pozostałym. Zaśmiałem się i ja, chyba najgłośniej, lecz nie było mi do śmiechu. Dokuczała mi obsesja, jedna z wielu moich obsesji... W moim rodzinnym mieście nigdy nic się nie działo, więc ludzie wtykali nosy we wszystko, co miało pikantny smaczek. Upajała mnie później na ulicach Melbourne kompletna anonimowość. Dla tej samej przyczyny rozkoszą stał się także Internet, imperium nieistnienia, preludium absolutnej wolności, azyl dla takich jak ja życiowych wykołajeńców. Tak mi się przynajmniej zdawało, dopóki jakiś hacker nie zaczął szpiclować, co robię, gdzie serfuję, jakież to tajemnice ukrywam w moich skrytkach pocztowych. Teraz chciałem odburknąć: „Nic ci do Jenny”, lecz pomyślałem tylko, że ci chłopcy są w gruncie rzeczy nieszkodliwi.

- No, dobrze. Przyznam się, miałem z nią coś niecoś do czynienia, ale już po ptakach.

- Po czym?

W języku angielskim „after birds” nic nie znaczy. Wyjaśniłem:

- To takie wyrażenie, że wszystko skończone.

- Idiom.

- Coś w tym rodzaju - zdusiłem sandałem niedopałek papierosa. Chłopcy dyskretnie oszacowali jego długość. - Pójdę już.

- Idź z Bogiem. Dzięki za papierosy.

Ruszyłem przed siebie, myśląc, że znów pokazałem tym cichym, przyjaznym ludziom swą paskudną, napastliwą jak atak koklusz butę.

Tracy stała w przeciwpożarowych drzwiach. Uśmiechnęła się smutno, gdy zbliżyłem się na pół kroku. Na jej szyi dostrzegłem nabiegły krwią, siny owal wielkości ust, którego nie miała wcześniej.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Chodźmy stąd gdzieś na plażę, gdzie nikt nie podsłuchuje.

- Podsłuchuje?

- Nie wiem. Boję się.

Przymknęła drzwi, wsuwając w szparę metalowy drażek, ażeby nie zatrzasnęły się, po czym objęła mnie pod rękę i poprowadziła po rampie w kierunku ciemności. Zeskoczyłem z krawędzi i podałem jej rękę; była lekka jak pył. Wtopiliśmy się w masę nocy, ostrożnie stawiając kroki na miękkim piasku. Minęły miesiące, odkąd nie czułem dotyku kobiety; Tracy była właściwie ciągle dziewczyną, której - teoretycznie - mógłbym być ojcem.

- Mówiła mi o tobie Pei Ling... Wczoraj na konferencji. Wiesz, gdy zobaczyłam cię dziś na sali, nie mogłam oderwać wzroku od twoich oczu. Masz bardzo głębokie, piwne oczy.

- Pewnie dlatego, że nie są skośne - z trudem pohamowałem nietaktowny ton, nie podobało mi się to wiszące w powietrzu kadzidło milutkich słówek.

Z drzewa zerwała się chmara nietoperzy, łopocząc cieniutkimi błonami skrzydeł i wywołując w ciszy rozgardiasz. Na tle roziskrzonego nieba widać było, jak krążą nad nami; zdawało się, że za chwilę wplączą się w włosy.

- Lubisz nietoperze? - spytała.

- To przyjemne zwierzaki.

- Najlepsze są w słodkim sosie rambutanowym.

- Ach, tak. Co kraj to obyczaj.

- Przypuszczałem, że lubisz je inaczej.

- Co masz na myśli?

- Znasz inny przepis? Jadacie je w Australii?

- Ja nie, ale to bardzo różnorodny kraj. Imigranci z całego świata... Kotłują się najrozmaitsze zwyczaje.

- Wiele czytałam o tym kraju. Musi tam być cudownie. Byłeś w Sydney? Widziałeś operę i most?

- To jeden z najprzyjaźniejszych krajów.

- Pomożesz mi? - niespodziewanie stanęła i obróciła się twarzą w moją stronę, wciąż trzymając mnie za łokieć.

- Nie bardzo rozumiem, jak to sobie wyobrażasz. W czym właściwie mam ci pomóc?

- Nie wiem. Niczego nie wiem. Wiem tylko, że do Chin nie wrócę. To moja jedyna szansa!

- Chcesz pojechać do Australii? Wystąpić o azyl polityczny?

Nie odpowiedziała. Zamilkliśmy na dłuższą chwilę, po czym dla odmiany teraz ja poprowadziłem wzdłuż brzegu. Fale opłukiwały z cichym szmerem stwardniały tutaj piasek.

- Zawsze byłam białą wroną. Nie wiem dlaczego, ale od dziecka byłam inna.
- Białą wroną? Po angielsku mówi się: „czarna owca”.
- W każdym razie tak się czułam. Zawsze miałam wielu znajomych, najpierw w ogólniaku, potem w koledżu, ale z nikim nie byłam właściwie blisko, nawet z rodziną. Szczególnie nie z rodziną.
- Mówiłaś komuś o swoim zamiarze?
- Coś ty. To mój drugi wyjazd. Pierwszy raz poleciałam do Hongkongu i też myślałam, żeby zostać, ale teraz to jest bardziej Xiang Kang, po mandaryńsku: Wonna Przystań. Z wolności zrobił się swąd nowoczesnego komunizmu. Tutaj, tutaj jest prawdziwa wolność.
- Można by dyskutować. Zdaje mi się, że żaden azjatycki kraj nie jest naprawdę wolny, to znaczy w rozumieniu Zachodniej wolności. Ale zgodzę się, w porównaniu z Chinami to raj na ziemi.
- Więc dlaczego jedziesz do Szanksi?
- To długa historia. Musiałem zmienić środowisko, codzienną rutynę, otoczenie. Rzygąłem już tamtym życiem. Najpierw próbowałem przekonać kolegę w Polsce na wyjazd do Ameryki Południowej. Gdy odmówił, rozważyłem Stany Zjednoczone, mam tam jeszcze paru znajomych, którzy... którzy pamiętają mnie jako w miarę normalnego człowieka. W końcu trafiłem na tę ofertę w Chinach. W Chinach nikt a nikt mnie nie zna.
- Nie rozumiem, przed kim tak uciekasz. Zachowujesz się rzeczywiście niezbyt normalnie.
- Jeśli normalność to większość, to nie mam wątpliwości, że do niej nie należę.
- Zobacz, tyle mamy wspólnego.
Chciałem zapytać, ile w istocie mamy wspólnego, lecz to dziewczę najwyraźniej zaczynało się mną bawić.
- Opowiedz mi o Australii.
- Temat-rzeka. Co chciałabyś wiedzieć?
- Dla mnie Australia i w ogóle Zachód to przede wszystkim prawa kobiet. U nas emancypacja to fikcja. Traktorzystki, brygadzystki, dźwigowe, bohaterki długiego marszu Mao. A tak naprawdę kobiety traktuje się jak moją prababkę, która idąc, palcami stopy dotykała pięty. Jak ona mogła utrzymać równowagę?
- Nie przesadzasz?
- Liliowych stóp już się nie spotyka, chyba że gdzieś na zapadłej wsi. Ale w dalszym ciągu kobieta jest tylko dodatkiem do mężczyzny, jak krawat i serwetka w butonierze. Nigdy tam nie wrócę.
Pomyślałem o jej sinym śladzie na szyi.
- A Low Fu? - spytałem. - Wygląda na całkiem miłego faceta.
- Low Fu to typowy doberman, produkt uboczny komunizmu: egoista, pozbawiony uczciwości karierowicz, który sprzedałby się za sto dolarów i w ten sposób ocenia wszystkich.
- Od dawna z nim pracujesz?
- Pół roku, trochę dłużej. Tyle że ja z nim pracuję tylko na wyjazdach. Oficjalnie jestem jego tłumaczką, choć słyszałeś, jak mówi po angielsku.

- Domyślam się, że maczał w tym palce jakiś urzędnik od ideologii partyjnej. W Polsce też kiedyś kierowca dostawczaka musiał jeździć z zaopatrzeniowcem, jakby sam nie umiał wypełnić faktur. Przy okazji obaj patrzyli sobie na ręce.

- To ciekawe skojarzenie. Według ciebie, jestem kierowcą czy zaopatrzeniowcem?

- To zależy, na ile oficjalna jest wasza współpraca.

- Czy dobrze rozumiem? Pytasz, czy z nim sypiam?

- To twoja osobista sprawa.

- A jednak pytasz.

- Już nie. Opowiem ci lepiej o tej Australii.

- Dobrze, ale obiecaj mi coś.

- Zależy co.

- Kiedy będziesz chciał się czegoś dowiedzieć, pytaj wprost, nie na okrężkę.

Taka jestem. Zgoda?

- Okey.

- To teraz mi opowiedz.

Lecz cóż właściwie mogłem jej opowiedzieć? Prawdę obiektywną czy osobiste wynurzenia o tym jak w Australii stoczyłem się na samo dno egzystencji? Czy powinienem ją zachęcić do próby ucieczki, czy też przestrzec przed tym wszystkim, czego doświadczają imigranci? Powiedzieć, żeby wróciła do domu, do najbliższych krewnych i przyjaciół, gdyż w przeciwnym razie nigdy już nie zazna luksusu obcowania ze swoimi, a nim się spostrzeże, wyalienuje się do cna, odetnie od korzeni, zbankrutuje, zdevaluuje się jej tożsamość, przewartościuje skala samooceny. Przepowiedzieć tej młodej kobiecie przyszłość wedle mojej trującej recepty? I tak nie uwierzy, a poza tym ile można powtarzać, że nic nie ma sensu? I po co? Jak to po co? Czy i to nie ma sensu? Czekanie tylko ma sens? Czekanie na co?

- Ludzie żyją jak wszędzie - zacząłem uniwersalnie - trochę z dnia na dzień, trochę od jednego małego wydarzenia do drugiego; rodzą się dzieci, poznają otaczający je świat, dziwią się coraz mniej, znajdują wreszcie życiowego partnera, poczynają swoje dzieci i zamyka się krąg. A potem nadchodzi już tylko czekanie...

- Smutna musiałaby być ta Australia, ale ci nie wierzę.

- Nie idzie mi o samą Australię. Szczęście tego kraju polega tylko na tym, że czekanie odbywa się w przyzwoitych warunkach.

- Chyba zaczynam cię rozumieć. Przejadłeś się i teraz dokuczają ci niestrawność.

Ale wiesz, że ja także ciągle na coś czekam? Widzisz, jestem trzy razy es: sexy, sporty and smart; mam świetną pracę, paszport w kieszeni i życie przed sobą...

- I chcesz to stracić?

- Niekoniecznie. Moje koleżanki w Szanghaju zazdroszczą mi, mają mnie za coś w rodzaju wzorca, respektują mnie za tę przyjemną dla oka otoczkę sukcesu. U nas teraz słowo „sukces” nabrało jakiejś narkotycznej siły i magii, oszalałego transu, którego ludzie jednak nie wytrzymują. A mnie to przychodzi łatwo, bo mimo wszystko jestem wolna, wewnętrznie wolna, zawsze byłam inna, bo wolna. Chcę to wszystko w jednej chwili rzucić i zacząć od nowa gdzie indziej, w wolnym kraju, gdzie moje pragnienia ktoś dostrzeże i doceni. Próbowалам podzielić się z kimś tą wolnością. I co? W Szanghaju nie było nikogo.

Zastanowiła mnie jej niezwykła dojrzałość. Jej rówieśnice myślą raczej o zabawie, modnych ciuchach, wyskokach tu i ówdzie, becze browaru, byle było cool i spoko. Ja w jej wieku byłem skończonym smarkaczem, a i teraz niedaleko w tej materii odszedłem. Zawsze cechował mnie jakiś emocjonalny niedorozwój, jakby zabrakło mi w dzieciństwie ostrza, które odcina pępownię. Być może dlatego, że wychowałem się w świecie ludzi dorosłych i jako dziecko nie miałem głosu, moje sprawy były dziecinne, nieważne, błahe i łatwe do rozwiązania. Ilekroć dokonywałem jakiegoś odkrycia na miarę Kolumba, zamykano mi buzię jakimś zdawkowym, pełnym pobłażania, wręcz litościwym frazesem. Z czasem zamknąłem się sam i tylko patrzyłem, jak dorośli raz po raz dziecinnieją. Ale tego nie mogłem już nikomu wyjawiać. W milczeniu obserwowałem, co nastąpi dalej.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie - poprosiłem.

- Wyobraź sobie siedem osób na dwudziestu metrach. Jestem najstarsza z rodzeństwa. Ojca nigdy nie było w domu, matka zawsze narzekała, taki ma roszczeniowy stosunek do życia. Więc w tym domu była ona i ja. Ją karmił ojciec, mnie ona. Nagród nie było. To wszystko.

- Przemawia przez ciebie ukryta krzywdą, jakaś pretensja?

- Niezasłużona kara. Masz rację. Raz moja trzecia siostra, Ah San, Numer Trzy, ukradła matce parę yuanów. Zgadnij, kogo trafił pejcz? Tak było ze wszystkim. Wyprowadziłam się z domu, gdy miałam siedemnaście lat, ale naprawdę moje dzieciństwo skończyło się dużo wcześniej.

- To smutne. Stąd to pragnienie wolności?

- Nie wiem. Tak czy owak, jeszcze przed wyjazdem do Penangu matka zbesztła mnie, że nie zapłaciłam jej miesięcznej pensji. Płacę jej trzysta yuanów, za co? - nie wiem. Jak mogłam jej powiedzieć, że potrzebuję pieniędzy na ucieczkę?

- Jesteś naprawdę zdeterminowana. Co zrobisz, gdy ci się nie uda?

Przepraszam: jeśli się nie uda.

- A co ma się nie udać? Zniknę i już. Zwróciłam się do ciebie, bo mówiła mi Pei Ling, że sam kiedyś uciekłeś z Polski. Liczę na to, że mnie zrozumiesz.

- Źle cię oceniłem. Myślałem, że jesteś zagubioną sierotką.

- Mam dwie natury.

- Jesteś przewrotna?

- Nie bądź głuptasem. Mam jedno życie. Rozumiesz? Jedno życie i dwie natury.

- Zaczynasz mnie zadziwiać. Wygląda na to, że to nie ty mnie, lecz ja ciebie potrzebuję...

Przerwała mi, łapiąc za rękę:

- Robi się późno. Pomożesz mi wyprowadzić się z hotelu?

- Myślę, że nie potrzebujesz tragarza, ale nie mogę ci odmówić.

- W takim razie załatwmy to natychmiast.

- U mnie nie możesz zostać. Podałem adres Low Fu'owi. Na pewno będzie cię szukał.

- Coś wymyślimy. Chodźmy z powrotem.

Jednakże tej nocy Tracy nie uciekła. W ostatniej chwili stchórzyłem, tak, odmówiłem jej pomocy, gdy miała już spakowaną torbę. Nie chciałem wziąć na siebie odpowiedzialności za jej poczynania, potraktowałem ją jak dziecko. Gdy o drugiej nad ranem wróciłem do mojego pokoju, wierciłem się długo na łóżku. Zza cienkiej ściany dobiegały wibrujące odgłosy chrapania. Obraz Tracy przesuwał się w ciemności jak stop-klatki starego, zniszczonego filmu. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że znam ją od dawna. Kobieta uwięziona w swej kulturze, ceniąca niezależność, lecz zdana na łaskę i niełaskę mężczyzny: Low Fu, moją, kogoś innego, kogo być może spotka jutro - tutaj, w Penangu, może w Singapurze. Leżąc teraz na łóżku, zaczynałem żałować. Ogarniała mnie frustracja, złość, samoagresja, po czym na odwrót: przygnębienie, osamotnienie, żalose poczucie straty. Emocjonalna huśtawka, jaką w ostatnich latach poznałem aż do bólu. Tracy, gdy się z nią żegnałem, była niewzruszona, harda. Odwróciła głowę, by ukryć wilgotniejące rzęsy. Melodramatycznie odszedłem.

Rano obudziłem się z ciężką głową. Minęła dziesiąta, z wieży meczetu dochodziło nienastrojowe zawrodozenie. Usiadłem na łóżku, wiatrak szalał u sufitu, rozwiewając mój sen po ścianach: mucha miotająca się przy oknie, odwrócona grzbietem do góry książka Bolla, sen, który z trudem poddawał się jawie. Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem w domu, aż powróciła myśl o Tracy i wraz z nią moje pierwsze azjatyckie odznaki moralniaka.

Włożyłem szorty i rozpiętą koszulę i zacząłem wypełniać poranny grafik: papieros i kawa na tarasie (Japończyka nie było), zimny prysznic - Malezyjczycy nie używają ciepłej wody - śniadanie w barze na rogu, jak zwykle ryżowa zapiekanka pataja i sok z marchwi; w przerwach między kęsami i łykami lektura „The Star”.

„Policja w Georgetown aresztowała czterech myanmarskich nielegalnych imigrantów, którzy zajmowali się swym przestępczym procederem.” To eufemizm. Myanmarczycy zajmują się co najwyżej niewolniczą pracą na budowach i plantacjach. „Należy ukrócić zalew taniej siły roboczej, oświadczył minister pracy. Społeczeństwo domaga się od władz natychmiastowych działań, uważa minister imigracji.” Malezja to ziemia obiecana dla tysięcy zdesperowanych Indonezyjczyków, Filipińczyków, Tajów, którzy wszelkimi sposobami przedzierają się przez granicę. List od czytelniczki: „Jako lojalna obywatelka naszej ojczyzny mam prawo żądać sprawiedliwego ukarania zagraniczników, którzy zatruwają naszą moralność!” Zagraniczników. „Mieszkanka Ipoh zadenuncjowała swego właśnie poślubionego męża, który ukrył przed nią fakt, że jest nielegalnym imigrantem z Dżakarty. Poszkodowana wystąpiła do ministra do spraw islamu z wnioskiem o unieważnienie związku małżeńskiego.” Rośnie poczucie tożsamości. Tymczasem Malezyjczycy

przekradają się do Singapuru, bo tam więcej da się zarobić. Ale o tym prasa już milczy. Rośnie przekonanie o wyższości Malezji nad resztą regionu.

- Panie Sebastianie! Panie Sebastianie!

Rozejrzałem się po wnętrzu. W progu stali państwo Zielińscy.

- Wybieramy się na Farmę Motyli - zakrzyknęła pani Zielińska, lecz zaraz zamilkła, speszona doniosłością swego głosu. - Pan z nami? Autobus zaraz nadjedzie - dodała cicho, stanąwszy tuż obok mojego stolika.

- Mam dzisiaj parę spraw do załatwienia. Wie pani, ta firma przewozowa to jednak dobry pomysł.

- A nie mówiłam? Szybciutko zgarń pan trochę grosza i do domu, do domu. Na co panu błąkać się gdzieś po świecie?

Ulicą przemknął policyjny radiowóz na sygnale, widok dość rzadki.

- No to jak? Zdecyduje się pan? Praca nie zajac.

- Przeczyśz sobie, kochanie. Dzień dobry panu - pan Zieliński pachniał aramisem. - Niech pan działa, młody człowieku. (Lubię, gdy ludzie mówią mi „młody człowieku”.) Ma pan w nas pierwszych klientów, a także rozmawialiśmy już o panu z pewnymi Duńczykami z hotelu.

- Dziękuję, odszukam państwa pod wieczór - odparłem, na wpół czytając.

- Chodźmy, kochanie.

- Chodźmy, chodźmy.

Poszli jak pędziwiatry. Ciąg dalszy lektury: „Premier Mahathir zakupił ciasteczka wartości 4000 ringgitów. W przyszłą sobotę mieszkańcy stolicy będą goszczeni w jego rezydencji w ramach Dni Otwartych. Przypomnijmy, że w ubiegłym roku premier wydał na ciasteczka o 450 ringgitów mniej. Należy w tym dostrzec znaczny wzrost gospodarczy.” U dołu zdjęcie uśmiechniętego, siedemdziesięcioletniego Mahathira, trzymającego w palcach ciasteczko. Mimowolnie przypominałem sobie E. Gierka w białej koszuli z zakasnymi rękawami, trzymającego w silnych, męskich rękach widły pełne gnoju. Towarzysz apelował do rolników o zwiększenie mocy produkcyjnych na froncie uboju bydła rogatego i trzody chlewnej.

Wstałem od stolika, zapłaciłem za śniadanie i następnie zawitałem w Virtual Paris sprawdzić pocztę. W skrytce znajdował się list z Koledżu Normalnego przy uniwersytecie w Szanksi. Mistress Hanna pisała, że mój wniosek o przyznanie ryczałtu na zimową odzież został rozpatrzony pozytywnie. Przynajmniej nie zamarnę. Odpowiedziałem uprzejmym pytaniem o bilet lotniczy oraz poskarżyłem się na ambasadę za jej opieszałość. Czas ponaglał, gdyż pracę miałem podjąć w połowie lutego, zaraz po chińskim Nowym Roku Księżycowym.

Francuzi byli zajęci: Monique uczyła starszego synka francuskiego (malec, doprowadzając mamę do szału, co chwila pytał po malajsku „Apa itu?”). Jean-Paul wypatroszył jeden z komputerów.

- Mogę skorzystać z kopiarki?

Angielszczyzna ze śrubokrętem w zębach była tak wymiętoszona, że całkiem niemożliwa do zrozumienia.

Zrobiłem plik kopii ulotki, zapłaciłem i wyszedłem. W międzyczasie chlusnęła ulewa i powietrze stało się ciężkie jak w oranżerii. Idąc do schroniska, zastanawiałem

się, czy nie odwiedzić Tracy, lecz kierunku nie zmieniłem. Ku mojemu osłupieniu, przed budynkiem stał radiowóz, a w recepcji czekali na mnie dwaj policjanci.

- Poprosimy pana o wyjaśnienia w sprawie... - starszy z nich zerknął do notesu - ...w sprawie Miss Lee Tai Shi.

- Nie rozumiem.

- Jest ona poszukiwana w związku z kradzieżą na szkodę... - znów posłużył się notesem - Mister Low Fu. Widziano pana w jej towarzystwie dziś w nocy o godzinie zero czterdzieści pięć.

- To prawda, lecz niewiele mogę pomóc.

- A więc potwierdza pan, że spotkał się z poszukiwaną?

- Tak, potwierdzam.

- W takim razie zechce pan udać się z nami w celu złożenia zeznań i sporządzenia protokołu.

Nim zdążyłem zaproponować, młodszy policjant uczynił gest, który nie pozostawiał mi wyboru. Znalazłem się na tylnym siedzeniu zamkniętego od zewnątrz, niebieskiego wiry, a parę minut później w pokoju dla petentów komisariatu w Batu Ferringhi.

Jakiś sierżant grał na komputerze w chłopki, wierząc się na obrotowym krześle, jak gdyby cierpiał na chorobę sierocą. Głowa odchyłała się w nerwowych ruchach zgodnie z kierunkiem joysticku (byłem tak zły, że najchętniej ugryzłbym go w szyję). Z głośników co chwila dobywał się owacyjny krzyk kibiców, po czym odgłosy wewnętrznego samozadowolenia sierżanta (pomrukiwanie). Jednak być policjantem w Batu Ferringhi to kara. Nie dość że służba odbywa się bezapelacyjnie według książki, nie dość że dla zagraniczników trzeba być miłym i pomocnym, to na dodatek nie można ich zastraszyć ani spodziewać się, że coś skapnie.

Sierżant dokończył gry, spauzował etap, sięgnął po teczkę z dokumentami i obracając się w moją stronę, powiedział:

- Mamy tutaj zeznania świadków, którzy widzieli pana idącego do hotelu Golden Sand oraz na plaży w towarzystwie poszukiwanej Lee... Lee jakkolwiek. Otóż ta Lee dopuściła się kradzieży ważnych dokumentów państwowych i znacznej sumy gotówki. Mamy tutaj zeznania Mister Low Fu, obywatela Republiki Chin, poszkodowanego. Czy wiadomo panu, przede wszystkim, gdzie ukrywa się... Lee?

- To nie moja sprawa, ale skąd wiadomo, że się ukrywa i że coś ukradła?

Policjant spojrział na mnie ostrym wzrokiem.

- Właśnie aby to wyjaśnić, pannę Lee staramy się odszukać.

- Odprowadziłem ją do hotelu około drugiej i więcej nie widziałem.

- Kamera systemu bezpieczeństwa hotelu zarejestrowała pana i Lee, wchodzących drzwiami przeciwpożarowymi. Zastanawia mnie, dlaczego nie od frontu?

- Mnie także wydało się to dziwne, ale tak chciała Tracy, to znaczy Tai Shi, to znaczy Miss Lee.

- Tą samą drogą opuściła hotel o godzinie szóstej siedemnaście. Co pan robił o tym czasie?

- Spałem, oczywiście.

- I nie wie pan, gdzie jest teraz Lee?

- Naprawdę nie mam pojęcia i niewiele mnie to obchodzi.

- O czym rozmawialiście?
 - O niczym.
 - Odmawia pan odpowiedzi?
 - To znaczy o wszystkim i o niczym. Opowiadała mi o swoim życiu, pracy, narzeczonym.
 - Narzeczonym?
 - Tak, powiedziała, że Mister Low Fu jest jej narzeczonym. Sierżant zanotował to oświadczenie, po czym zapytał:
 - Czy wspomniała, że zamierza zostać w Malezji?
 - Nie sędzę, aby miała tutaj coś ważnego do zdziałania.
 - Według Mister Low Fu, jest w posiadaniu materiałów o znaczeniu gospodarczym, które mają określoną wartość.
 - Brzmi to jak tani kryminal. Ale nie moja to rzecz. Czymś jeszcze mogę służyć?
 - Nie jest pan zbyt chętny do współpracy, ale dobrze, zostawmy to na razie. Nie opuszcza pan przypadkiem miasta?
 - Planowałem podróż do Tajlandii... w najbliższych dniach.
 - W jakim celu, jeśli mogę zapytać?
 - Jestem turystą.
 - Tak, prawda. Zaczeka pan chwilę, to spisujemy protokół i będzie pan wolny. Spisywanie protokołu trwało cztery i pół godziny, a ja czułem, że siniaczy mi się siedzenie na taborecie. Nie wiem, ile w tym czasie rozgrywek w chłopki stoczył sierżant. W każdym razie o mojej obecności zapomniał i ilekroć ponaglałem, zwracał się po malajsku do młodszych stopniem, po czym zapewniał mnie, że potrwa to już niedługo. Nareszcie spakował swoją torbę i poszedł do domu, a jego miejsce przy komputerze zajął popołudniowy zmiennik.
 Gdy wyszedłem w końcu na ulicę, przed budynkiem przechadzał się Jean-Paul.
 - Zys ys mizerrable. Już myślałem, że pójdziesz do więzienia. Coś ty narobił? Coś ty, człowieku, narobił?
 - Co takiego?
 - Biedy sobie napytałeś. Całe miasto mówi o tobie i tej Chince.
 - Jakiej Chince? Dwa razy widziałem kobietę na oczy. Czyście wszyscy powariowali?
 Przytaknął ruchem głowy, co mogło znaczyć, że w ogóle mnie nie zrozumiał.
 - Jest do ciebie faks z ambasady - sięgnął do kieszeni koszuli i podał mi zwitek arkusza. - Zobaczysz Chiny, jak mi taki kaktus wyrośnie - napreżył otwartą dłoń i wskazał przypuszczalną wysokość rośliny.
 Przeskanowałem wzrokiem treść depeszy, lecz prócz stempla ambasady, mojego nazwiska, zapisanego łacińskimi literami, i paru arabskich cyfr wszystkie znaki były mandaryńskie. Domyśliłem się jednak, że liczba „12” mogła oznaczać miesiące, a zatem prawdopodobnie była to promesa wizy. Podzieliłem się tym domysłem z Jean-Paulem, który oczywiście nie omieszkał wyrazić poważnych i uzasadnionych wątpliwości.
 - Dzięki, że mnie odszukałeś - powiedziałem, gdy mieliśmy się już rozstać.

- No, nie ma za co. Musimy się popierać na tym zakichanym ryżowisku. Przyniosłem książeczkę czekową na wypadek, gdyby trzeba było wpłacić za ciebie kaucję.

10

Mister Soon potwierdził, że depesza była w istocie promesą wizy. Miałem wysłać paszport i czek. Lecz może byłoby lepiej pojechać osobiście, tak na wszelki wypadek, iżby zapobiec zawieruszeniu się w tonach papieru mej australijskiej tożsamości. Tego by tylko brakowało.

- Był do pana telefon od Mister Low Fu - Mister Soon zerknął na przyszpiloną do korkowej tablicy karteczkę. - Prosi o kontakt na komórkę.

Spojrzał jeszcze na mnie, jak ludzie uczciwi patrzą na przestępcę, lecz gdy poprosiłem, telefon podał.

Zadzwoiłem. Low Fu potraktował mnie uprzejmie, choć chłodno, chłodniej niż wczoraj. Mówił coś o Shanghaju, nie zrozumiałem. Na koniec zapytał, niby od niechcienia, czy nie wiem czegoś o Tracy. Nieomal bez retuszu powtórzyła się rozmowa z sierżantem.

- Pamiętaj, Chiny są wielkie - powiedział jakby w oderwaniu od sensu i zamilkł.

Chwilę czekałem, zanim dotarło do mnie, że nie ma go już po drugiej stronie słuchawki. Poczulem, jak zaciska się wokół mnie pętla jakiegoś niewyobrażalnego absurdu. Wtenczas po raz pierwszy, po raz pierwszy pomyślałem o powrocie do Australii. Po raz pierwszy dopadło mnie wyobcowanie, czułem złość na sobie, że wdałem się w tę konspirację z Tracy; że poczęstowałem papierosem tych chłopców na mostku.

Poszedłem do pokoju i napisałem list do Szwecji, zdając mojemu Polakowi relację z obaw. List wysłałem wieczorem z Virtual Paris. Nazajutrz Polak zapytał, czy nie boję się w Australii wywoływania duchów, czy cofając się tak łatwo, nie wpadnę w własne sidła? Znów nie mogłem się z nim zgodzić ani zaprzeczyć. Teraz już naprawdę jestem mniej niż nikim. Gdzie jest Tracy? Zachowałem się po świńsku. Skrzywdziłem ją i siebie. Przyjechałem tutaj, by znów być kimś; nawet jeśli nie wskrzeszę dawnej tożsamości, może utwierdzą się, że mimo wszystko jestem kimś.

Zszedłem do telefonu i zadzwoniłem do sklepu Che (był to sklep fotograficzny). Słuchawkę podniosła Pei Ling. Nie wie, co się stało. Jest zdumiona, lecz Tracy należy natychmiast odszukać, nie wolno jej tak zostawić. Nie jestem arsehole. Nie powinienem tak myśleć. Chinki są urocze właśnie dlatego, że tak bardzo starają się być miłe dla mężczyzny, choć raz jest to przyjemne, raz upokarzające (kadzidło miłutkich słówek). Odłożyłem słuchawkę, gotowy wrócić w swą pustkę i wyrzuty sumienia.

- Ach, byłbym zapomniał... Jest także list do pana - powiedział Mister Soon, sięgając ręką do odpowiedniej gablotki recepcyjnego regału. Podał mi szarą kopertę biurowego formatu, oklejoną tuzinem znaczków i taśmą samoprzylepną na wszystkich krawędziach. Ten pancerny list mógł nadejść tylko od mojego staruszka, który zawsze,

zawsze wyolbrzymiał skalę pocztowego złodziejstwa, łudząc się, że jego otaśmowienie odstraszy, jak mawiał, bandytów. (Skodę w garażu trzymał uwiązaną jak kozę na stalowym łańcuchu, wbetonowanym w posadzkę.) Wiedziałem, że rozrywanie koperty gołymi palcami nie zda się na nic, że noża trzeba lub wręcz piły, by uwolnić to, co ojciec zabezpieczył, zaryglował w środku.

Poszedłem na górę i wzięwszy scyzoryk z plecaka w pokoju, usadowiłem się na tarasie. Prócz listu, napisanego na staroświeckiej olimpii, którą, będąc akurat w Polsce, sprezentowałem ojcu na siedemdziesiąte urodziny, gdyż zbyt mocno drżał mu w palcach długopis, znalazłem dziwną broszurkę jak tomik poezji, wydaną na ozdobnym kremowym papierze. „XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Stęczyńskiego”, głosił napis. Tak, prawda, zapomniałem o tym konkursie, na który przed kilku miesiącami wysłałem jedno z moich pierwszych opowiadań. Zerknąłem na spis treści i rzeczywiście, moje nazwisko, nie pseudonim, choć prosiłem organizatorów o ukrycie moich personaliów, lecz prawdziwe nazwisko znalazło się na drugim miejscu w kategorii amatorskiej prozy.

Ojciec, już w pierwszych słowach, pytał, w jaki sposób może przesłać nagrodę: tysiąc pięćset złotych. Dalej następowała lista konkursów literackich wraz z adresami i terminami w całej Polsce aż do końca roku, w których powinienem, jego zdaniem, także wziąć udział. Dotychczas moje zapiski, których nie było zresztą wcale tak wiele, uważał za mrzonki, dopóki byłem młody - młodzieńcze mrzonki, później milcząco pomijał już epitety. Teraz jednak moje desperackie próby wypełnienia życia jakimkolwiek sensem, bo tym w istocie były te pierwsze, napisane w średnim wieku opowiadania, nabrały w jego oczach wymiernych, namacalnych kształtów walutowych. Po raz pierwszy w życiu namawiał mnie do pisania fikcji, do mieszania twardego życia, którego był piewą, z półsennymi urojeniami kroczących po chmurach.

Na końcu matka dodała odręcznie, że bardzo się cieszy, takie wyróżnienie i tak dalej, lecz poradziła, abym wziął sobie do serca te wszystkie wulgaryzmy i sprośności, od których aż robi się nieprzyjemnie. „Wiem, że opisujesz świat brutalny, bawidamków i damskich bokserów, których nie brakuje, jak widać, także poza Polską, ale pamiętaj, pamiętaj, ludzie cię za to potępią”. Moja biedna staruszka, której kupno gazety w osiedlowym kiosku zajmowało godzinę, gdyż tak długo stała przed lustrem, nim uznała, że na palcie czy garsonce nie widać ani jednego włoska i ani jednej fałdki. To znaczy, że ludzie nie zobaczą.

Tak czy inaczej częściowo rozwiązał się mój finansowy kłopot: tysiąc pięćset ringgitów piechotą nie chodzi, może uda mi się przeżyć kolejne cztery tygodnie.

Zszedłem do recepcji i w książce telefonicznej odnalazłem numer biura Thomas Cook, lecz gdy zadzwoniłem, miły kobiecy głos z malajskim akcentem wyjaśnił, że firma nie prowadzi przelewów gotówkowych. Kto je w mieście prowadzi? - nie wiadomo. Wróciłem do książki, tym razem szukając Western Union, lecz bez powodzenia. Podobnie bezowocne okazały się telefony do Arab Malaysian Banking Corporation, Maybanku, Ban Hin Lee i kilku innych ważniejszych instytucji finansowych. Ostatecznie ustaliłem, że najbliższa placówka Western Union mieści się w Hat Yai; dopiero wtenczas, z gotową instrukcją co i jak, zatelefonowałem do rodziców.

Cieszyli się jak dzieci, a mnie rozdarła do nagiej kości żalność, że gdy mieszkając w kraju, zamiast cieszyć się nimi przechodziłem samotnie przez pustynię młodzieńczego nihilizmu i przeżywałem swoją połowę konfliktu pokoleń, a potem rozdzieliło nas prawie wszystko.

Tymczasem wieczór w towarzystwie państwa Zielińskich przeleciał mi jak motyle, na których temat uprawialiśmy mało autorytatywny słowotok. Pan Zieliński, w motylach obeznany tak jak ja, zapytał, jak poszło mi z ulotkami. Odparłem, że działalność gospodarczą rozpocznę ewentualnie dopiero po powrocie z Tajlandii.

- A więc jednak pan jedzie? - nie wiedzieć czemu zdziwiła się pani Zielińska.

- Koniecznie, bo tutaj nie udało mi się przedłużyć wizy. Była to, zdaje się, gra w kotka i myszkę: urzędniczka imigracji uparcie wciskała mi podanie o wizę pracowniczą dla indonezyjskiej pomocy domowej.

- Co pan powie, takie rzeczy? Czy pan wygląda na Indonezyjkę?

- Jadę pociągiem pojutrze o świcie. Nie chcą państwo zabrać się ze mną?

- Tajlandia to już nie na nasze lata - pan Zieliński uśmiechnął się dwuznacznie, patrząc na żonę, lecz ta najwyraźniej udała, że nie pochwyciła żartu.

- Napije się pan drinka? - zaproponował po chwili.

- Nie piję. Wie pan, w tym klimacie...

Zawsze gdy odmawiałem, huczał mi w pamięci krzyk toastów, wznoszonych ku pocieszeniu ochrypłych gardeł. Krzyczała mi pustka, która wślubiła się w moje życie pomiędzy czasem, gdy spotkałem Israela Aguilara, właściwie parę lat później, a miesiącami bezpośrednio poprzedzającymi mój wyjazd do Penangu, gdy bardziej niż siebie samego przypominałem tego supermężczyznę w sombrero. Siedem bodajże lat, jeśli w ogóle możliwe jest trafne określenie granicy, siedem lat staczania się po równi pochyłej, gdy każdy kolejny dzień już zdaje się ostatecznym dnem, lecz tylko po to, by nazajutrz owo dno osunęło się spod stóp jeszcze niżej. I nie widać końca, i nie wiadomo jak nisko, jak głęboko upaść zdolny jest człowiek, i jak wiele skurwysyństwa może zdzierżyć.

- Wobec tego może soku cytrynowego? - pan Zieliński napełnił dzinem kieliszki, swój i żony.

- Tak, poproszę.

11

Minął dzień. Pociąg ruszył z przejścia granicznego w Padang Besar, po malajsku Wielkie Pole, i z chwilą gdy wtoczył się na terytorium Tajlandii, dało się dostrzec kolosalną przepaść dzielącą te dwa kraje; to tak, jakby przymknąć na chwilę powieki w San Diego i otworzyć je w Tijuanie. Nędza tajlandzkich wiosek, miasteczek, szos, mostów i także pól ryżowych zdawała się bić na głowę nawet najbiedniejsze rejony wschodniomalezyjskiego Terengganu.

Przez otwarte do połowy okna wdzierał się szum rozpedzonego powietrza i łoskot kół uderzających z impetem o szyny. Szum i zapach, pomimo wczesnego rana, cieplej wilgoci po obu stronach toru, wypełniającej z każdą minutą wnętrze wagonu. U sufitu wirowały metalowe, poczwórne ramiona wiatraków, prześcigając się pomiędzy

sobą, jeden na środku i dwa na końcach, tuż przy rozsuwanych drzwiach do sąsiednich wagonów, za którymi stali w kłębach dymu papierosowi palacze.

Rozglądałem się z trwogą po tym wszystkim oczyma odurzonymi światłem, zmrużonymi w kształt wrzeczona od żaru; może nie były to spojrzenia bojaźliwe, lecz zwyczajne, niecierpliwe, poirytowane niedoskonałością przedpotopowego wagonu, brakiem niezbędnej w tych warunkach klimatyzacji, zdradzające utopijne pragnienie, utopijne, bo spóźnione o dwie godziny, gdy wyjechaliśmy z Penangu - izby zamiast dla biedaków pojechać dalej wagonem dla bogaczy. Niestety, wszystkie miejsca pierwszej i drugiej klasy oraz wagon sypialny i dwie kuszetki jadące z Singapuru do Bangkoku, zajęli podróżni zawczasu zapobiegliwi i ci, dla których pieniądze liczyły się mniej niż wygoda.

Niektórzy zdawali się nie odczuwać tej uciążliwości. Malajowie, Hindusi, Tamilowie i Chińczycy, z których większość jechała do Hat Yai po towar do swoich sklepów i straganów, zajęci najpewniej byli, każdy w swoim własnym języku, rozmową o polityce, o cenach krewetek na mokrym targu w Taipingu, ot dla zabicia podróżnego czasu.

Europejskich turystów z pewnością ciekawiła przyroda - gęstwina zieleni wspinająca się ponad dachami mijanych w pełnym pędzie chłopskich chałup; owocujące o tej porze roku drzewa mangowe; niezmierna, zieleniąca się w promieniach słońca, wydana na pastwę tej lśniącobiałej kuli dżungla, której głębie pokonać mogła tylko lotna wyobraźnia. Rzeki, azjatyckie rzeki, nad których mętną, koloru miło wodą pociąg przemykał po żelaznych, rudoszarych, rdzawych mostach. Urodzajne, pokryte taflą obfitej w życie bakterii wody pola ryżowe, na których, brodząc po kolana, pochylały się całe rodziny, od starców po wyrostków, od permanentnie zgarbionych kobiet po wciąż zwinne dziewczęta. Stacyjki z jednym peronem i chatą jak z piernika, u której progu stał zawiadowca z zielonym i czerwonym lizakiem, a obok niego czereda małych obdartusów, liczących w pędzie wagony i łapiących grymas moich ust i zmarszczek wokół wrzeczona, gdy wychylałem za okno głowę.

Kilka osób drzemało odsypiając nieprzespaną noc, podróż samolotem z Australii, z Europy, pociągiem z Singapuru lub z Kuala Lumpur; inni czytali ogromne, rozłożone na kolanach płachty miejscowych gazet, jeszcze inni - turystyczne przewodniki, szukając miejsc noclegu, miejsc ciekawych, miejsc, w których można się pożywić, napić, zabawić.

Od czasu do czasu środkiem wagonu pomiędzy ławkami przechodził konduktor, by po raz kolejny sprawdzić bilety, lub konduktora pomocnika, by mopem na grubym kiju o długich, szarych od błota sznurkach rozmazać kurz na podłodze. Jasnobrązowe, czyste, jakby przed pięcioma minutami wyprasowane mundury złożyły się na pagonach i krótkich rękawach służbowymi insygniami i mieniły się nad kieszeniami baretkami państwowych odznaczeń. W ich jasnoczekoladowych twarzach kryła się maska urzędowej godności w służbie Jego Królewskiej Wysokości.

Jednak już w tych pierwszych chwilach i minutach, patrząc na Tajów, opartych łokciami o szlabany na szosach, stojących okrakiem na archaicznych rowerach, ocierających pot z czoła na gankach chat, dostrzegłem w nich wolność, o której nieomal zapominałem w Penangu. W Penangu ludzie zdają się być matowi, zuniformizowani, ostrzyżeni na jedną i tę samą modłę, odziani w ubogą paletę

kolorów i stylów, jak gdyby brakło im nie tyle fantazji, co odwagi, by w tłumie podkreślić swą wyłączną indywidualność. Jak gdyby w bujnym i zagmatwanym ich życiu jakaś społeczna siła wzięła osobowość w sztywne ryzy i szablony, stawiając ich rzędem jak manekiny w sklepowej witrynie. Widząc zaś Tajów, pomyślałem o Australii, o Ameryce, o tych wszystkich przebierańcach na Kings Cross i na wzgórzach Berkeley, którzy koją się swą zwyczajną odmiennością. I pomyślałem o sobie, jak raz na lotnisku we Frankfurcie barman niemiecki zwrócił się do mnie po angielsku. W pierwszej chwili nie wiedziałem, jak odkrył, że nie jestem Niemcem, lecz rozejrzałem się po podróżnych i zrozumiałem, że wyglądam jak outsidera.

A potem był samolot PLL Lot, stojący na betonie. Schody na dziobie i schody w ogonie. W ogonie kolejka jak za komuny u rzeźnika, na dziobie kilkanaście osób w identycznych szaroczarnych jesionkach, z identycznymi neseserami na cyfrowy zamek, z identycznymi fryzurami biznesowców. Stałem wraz z nimi i obie grupy, ta na dziobie i ta w ogonie, zmierzyły mnie z równą wyższością, bo do żadnej z nich nie przynależałem. Na szczęście miałem pod ręką córeczkę, która choć gówniara, patrzyła na ten dziwny świat, wybałuszając gały, tak jak i ja je wybałuszałem. I pomyślałem wtedy, jak bardzo zmieniłem się przez te wszystkie lata za oceanem...

Nim się spostrzegłem, pociąg wtoczył się na peron stacji w Hat Yai. Z wagonów wysypał się tłum podróżnych; kupcy z pustymi plastikowymi torbami w czerwono-niebiesko-białą kratę, jakich pełno na wszystkich bazarach świata, udali się wzdłuż ulicy Thamnoonwithi w kierunku głównego w mieście targowiska; „Francuzi”, jak nazywa się w Tajlandii turystów europejskich, pobiegli z wywieszonymi ozorami w poszukiwaniu noclegu lub raczej, zważywszy porę dnia, pokoju hotelowego, który tymczasem posłużyłby jako przechowalnia bagażu.

Wyszedłem przed budynek dworcowy, gdzie zebrało się natychmiast zbiegowisko. Taksówkarze jako pierwsi otoczyli mnie kołem, oferując dowóz do najbliższego hotelu Asia, który, jak się potem okazało, ani nie był najbliższy, ani nawet dla turystów o moim wyglądzie. Płaciła za to dyrekcja taksówkarzom najwyższą prowizję od sprowadzonego łebka.

Przezornie odpędziłem horde, lecz zaraz przyłączyli się do mnie czyścibut z fryzjerem, których specjalności domyśliłem się po trzymany w rękach akcesoriach.

- Nie widzisz, palancie, że noszę sandały? - wycedziłem po polsku.

Następnie podszedł pimp i przekładając karty albumu z fotografiami, recytował cennik: dziewica tyle a tyle, dwudziestolatka tyle, matka z córką tyle a tyle od sztuki.

Gdy uwolniwszy się w końcu od naganiaczy, ruszyłem chodnikiem pod arkadami, ulica okazała się wąska, ruchliwa, zalatująca odorem spalin i głębokich, przeciwmorsunowych rynsztoków, w których zamiast deszczowej wody płynęły pomyje i sztywne myszy. Na chodniku topił się lód ze straganów, którym okładano rybie głowy, by nie śmierdziały tak przejmująco rybami. Co kilka kroków zaczepiali mnie stojący na progu sklepikarze i zebrały dzieci; za szybą w studiach masażu siedziały dziewczęta jak w poczekalni u doktora, w ciasnych sukienkach na trzy czwarte pośladków, na których jak śmieszki widniały przypięte agrafką na piersiach kolorowe krążki z ceną.

Dźwigając plecak doszedłem do schroniska Luise Guest House, którego adres dał mi Che. W recepcji za kontuarem stała młodzietka, zdawało się, Chinka, lecz ciemniejszej karnacji od Chinek, które dotąd widziałem. Odpowiedziałem uśmiechem

na uśmiech, po czym spojrziałem na nią ufnym wzrokiem, licząc na to, że wytarguję odpowiednią cenę.

Wytargowałem. Mijając na wszystkich ścianach portrety królewskiej rodziny, weszliśmy na czwarte, ostatnie piętro; spod jej kusej sukienki wylaniały się uda aż po odbłaskową na ciemnej skórze biel G-stringów. Na schodach i korytarzach mnożył się tłumek mężczyzn wszelakiego koloru twarzy i w przeróżnym wieku; drzwi do pokoiów otwierały się tak szybko, jak zamykały; na czwartym piętrze, przez ścianę z cienkiej azbestowej płyty dobiegł krzyk rozpustnej rozkoszy.

Mój pokój był mały, ledwie było w nim przejście pomiędzy łóżkiem king size a oknem z jednej strony i ścianą z lustrem po drugiej, lecz z łazienką i niezastąpionym wiatrakiem u sufitu. Dziewczyna zaraz wiatrak włączyła, a ja rzuciłem się na łóżko, sprawdzając jego miękkość, i na łóżku leżąc patrzyłem na rozpędzające się śmigła.

Stała na progu i czekała. Podniosłem się po chwili i wydobyłem z kieszeni kilka tajlandzkich banknotów, które wymieniłem, jeden do dziesięciu w kantorze na stacji w Butterworth. Obruszyła się. Zaprotestowała. Byłem pewien, że robi to dla dobrego tonu, lecz skądże, nie chciała ani pieniędzy, ani nawet paczki zagranicznych papierosów. Przeciwnie, z szafki przy łóżku wyjęła kilka puszek piwa.

- To na wypadek, gdyby męczyło cię pragnienie. Prezent dla nowych gości.
- Nie piję, ale dziękuję za miły gest.
- Pójdę już. Gdybyś czegoś potrzebował, będę w recepcji...

Nie ruszyła się jednak. Pod sukienką brązowiły się drobne sutki i jaśniała trójkątna biel chuci.

- Jak masz na imię? - zapytałem widząc, że nie odchodzi.
- Wan Teng.
- Co to znaczy?
- „Wan” znaczy „miękki”, „Teng” - „kobieta” lub „kwiat”.

- Piękne imię. Twój ojciec musiał być bardzo szczęśliwy... Pewnie jest w moim wieku.

Podeszła bliżej, stała chwilę dotykając kolanami łóżka i przesywając mnie wyuczonym anielskim wzrokiem. Potem zdjęła przez głowę sukienkę i położyła się obok. Miała małe, sterczące piersi i płaski brzuch. Uśmiechnęła się tak, że uśmiechnąć się cieplej i smutniej zarazem chyba nie można. W tym uśmiechu zawarła całą swoją niemoc, niemoc bezbronną, niemoc bezsilnego milczenia. Z nagłą w pokoju zapadła niesłychana cisza. Świat głuchoniemych musi być nie do wytrzymania. Walczyłem z pokusą, tocząc swój maniacki monolog, wałkując myśli samopas, patrząc, patrząc na smukłą piękność. Lecz jakimś cudem pomyślałem najpierw o Tracy, potem o AIDS. Nie wiem, co zaważyło bardziej na tym, że odsunąłem się na przeciwległy brzeg łóżka.

Wtedy w Polsce, przed wtórym wyjazdem do Australii mieszkałem bodaj przez tydzień w burdelu, na granicy nicości i śmierci. Zasypiałem z głową w stopach Tatiany, a budziłem się na Swietłanie albo Ulce, płacąc tysiąc złotych za dobę i napiwki. Dziewczyny prześcigały się w swych cyrkowych sztuczkach i donoszeniu piwa i schaboszczaków z kiszoną kapustą, które pożerałem palcami. Miałem już wtenczas Polski tak serdecznie dość, że chciałem uciec z Tatianą na Ukrainę. Odessa, Odessa, raj na ziemi, dziczałem i dziwaczałem. Renata i Sylwia wyprowadziły się wtedy do teściowej.

- Ile masz lat? - spytałem.
- Niedługo skończę osiemnaście.
- Niedługo, to znaczy kiedy? Za dwa-trzy lata?
- Glina jesteś z Interpolu, czy co? - stała się nagle niemą, lecz dla niepoznaki uśmiechnęła się.
- Nie uznaję seksu za pieniądze. Umieć być samowystarczalny.
- Przepraszam, nie wiedziałam. Dojrzały biały facet w Hat Yai znaczy dla nas tylko jedno.
- Jak chcesz zarobić, możesz być moją przewodniczką. Przynajmniej odczepią się pimpy na ulicy.
- Muszę pogadać z bossem.
- Pogadaj. Będę tu co najmniej dwa dni. Ile zarabiasz dziennie?

Nie odpowiedziała. Usiadła na brzegu, zwrócona do mnie plecami, kusząc jeszcze swym butelkowym kształtem, za którym wodziłem tęsknym, samczym wzrokiem, lecz po chwili ubrała się i odwróciła ku wyjściu. Potem wolno, bardzo wolno jak w mydlanej operze zniknęła zamykając za sobą drzwi. Usiadłem na łóżku. Z łazienki za ścianą dochodziły odgłosy kąpieli. Rozpakowałem plecak i poszedłem do swojej łazienki. Woda zimna, zimna, bo ciepłej wody w tajlandzkich schroniskach po prostu nie ma, zmyła ze mnie podróż. Długo goliłem potem twarz przed lustrem i czyściłem zęby i po jakimś czasie, ocucony, owinięty ręcznikiem w pasie, wróciłem do pokoju. Woda ociekała na drewnianą podłogę, na której zostawiłem ślady stóp od drzwi do łóżka. Położyłem się opierając głowę o ścianę.

Chaos. Człowiek coś robi, do czegoś zmierza... opętuje mnie nicnierobienie, udręka nudów. Lecz rzeka też nie pyta, po co płynie, a płynie - to mój ulubiony w cieleństwie Grzegorz Musiał ze swym „Stanem płynnym”, który naśladowałem pisząc pamiętnik „Śmietnik zdarzeń”, lecz nijak nie mogłem zdobyć się na odpowiedni tytuł: śmietnik na pewno, lecz czego? Zdarzeń? Marzeń? Wrażeń? Sparzeń? Wszystkiego tam było po trochu, jak teraz, dwadzieścia parę lat później. Czekam jak we śnie na śmierć. Minęło pół życia. Co dalej? Czekam na Tracy, którą mają przeprowadzić przez granicę przewodnicy. Zapłaciłem pożyczone od Che dwa tysiące ringgitów. Przekaz z Western Union odbiorę po południu; zadzwoniłem do rodziców raz jeszcze, by dołożyli parę setek. Nie wiem, kiedy oddam. Che dał mi adres przyjaciela, który sprzedaje w Hat Yai sfałszowane paszporty. Tracy może uchodzić za tajlandzką Chinkę. Pojedziemy do Bangkoku. Wywiozę ją do Australii, może do Kalifornii, do Meksyku, na Pacyfik. Niech też będzie wolna. Niech też odnajdzie swoją wyspę szczęścia.

12

Wtem rozległ się głuchy, tępy huk za oknem. Nie od razu podszedłem, by je otworzyć i zobaczyć, co się stało. Lecz po chwili dobiegły krzyki, nawoływania, a jednocześnie tupot stóp na korytarzu i schodach. Wstałem z łóżka i gdy nacisnąłem kłamkę u okna, pękła ona u samej nasady tak, że kostkami palców wyrzuciłem jak w tarce do marchwi w drewnianą framugę, z której ostrymi płatkami łuszczyła się farba.

Wcisnąłem pięć pod pachę, krzywiąc się z bólu, i przysunąłem twarz do szyby. Cztery pietra niżej, na podwórzu przypominającym dno studni europejskiej kamienicy, wrzało jak w ulu. Ludzie krzyczeli coś po tajsku, wymachiwali rękami, ich głowy falowały jak podwodny czarny kwiat z pustą w środku jamą. Na betonie, wśród owych falujących głów, leżało zgięte w nienaturalnej pozycji ludzkie ciało. Tłum gęstniał i gęstniał, poruszał się coraz burzliwiej jakby targany wodnym prądem, a ja manipulowałem scyzorykiem przy odłamanej kłamce. Wreszcie zrezygnowałem i wróciłem na łóżko.

Dopiero w południe, gdy zszedłem do recepcji, Wan Teng powiedziała mi, że był to Australijczyk imieniem Darryl. Mieszkał w schronisku od pół roku. Najpewniej skończyły mu się pieniądze. Szalał trochę ponad stan, to fakt, właściwie nigdy nie trzeźwiał, ale też nigdy nie był tak naprawdę pijany.

- Dziewcząt zaliczył chyba z osiemdziesiąt - spojrzała na mnie, jak gdybym był jej pimpem albo co najmniej wtajemniczonym w arkana zawodu przyjacielem. - Dziwisz się? Mają u nas jak w bajce. Jesteśmy im oddane jak nikt inny na świecie. Niestety, nie wszyscy rozumieją, że w życiu należy zachować równowagę. Jeśli włożysz serce w jedną pasję i tej pasji zabraknie - zginiesz marnie. Biedny Darryl zapomniał o tym, więc wreszcie nie zostało mu nic innego jak tylko skoczyć.

- A ty? Nie boisz się tego dnia, gdy i tobie nic więcej nie zostanie?

- Ja? Ja utrzymuję całą rodzinę na wsi pod Songkla. Rok temu sprzedał mnie ojciec, bo jestem najstarsza. Mam dwie młodsze siostry, które pracują w ryżu. Nie chcę, by musiały kiedyś robić to samo.

- Nie boisz się HIV? Tajlandia to pierwszy kraj na świecie. A twoja matka? Ona tego nie robi, prawda? Nie chcesz mieć męża i dzieci? Normalnego życia?

- Hej! Czy ty przypadkiem nie chcesz zbawić świata? Spiesz się, bo jedna trzecia ludzkości przymiera głodem, możesz nie zdążyć - w jej ślicznych, prawie czarnych oczach zaiskrzyła się jadowitość, jak gdyby chciała zakrzyknąć: „Nieprawda, nieprawda, że Tajlandia przoduje w prostytucji!”

Taką przynajmniej rewelację można przeczytać w oficjalnym przewodniku rządowej Komisji Turystyki. Pierwszy jest Tajwan, drugie Filipiny. Dla tych dziewcząt w Hat Yai często nie ma alternatywy. Dobrowolnie lub sprzedane przez rodziny, opuszczają okoliczne wioski, w których w najlepszym razie spędziłyby życie pochylone na polach ryżowych, i w hotelach, samochodach, wynajętych bezokiennych kantorach zarabiają na siebie, pimpów, rodziców oraz na młodsze siostry, które wcześniej czy później także przyuczą się do zawodu. Od połowy lat pięćdziesiątych prostytucja jest zakazana, lecz nie zniechęca to całej armii kobiet, dziewcząt i chłopców oraz milionów ich klientów. Z domów publicznych korzysta, średnio dwa razy w miesiącu, trzy czwarte nieżonatych Tajów, a trzy czwarte zbadanych w 97 roku prostytutek było nosicielkami wirusa HIV. Rząd obwinia stacjonujących tutaj podczas wojny wietnamskiej żołnierzy francuskich i amerykańskich, lecz oni spowodowali tylko wzrost cen i wyodrębnienie się elity dziewcząt, które jak piękna Wan Teng wysławiają się po angielsku.

- To co, zatrudnisz mnie? - odkryła nagle w uśmiechu szarobiałe zęby. - Boss się zgodził. - Wymieniła cenę.

Zapłaciłem. Znikła na zapleczu i parę minut później przekazała recepcję koleżance. Wyszliśmy na ulicę. W strugach ulewy pędziły taksówki put-put,

minipółciężarówki suzuki i daihatsu, z dwiema ławkami wzdłuż paki pod celofanowym baldachimem, bryzgając błotem na parę metrów. Chodniki pod ciągnącymi się w nieskończoność arkadami były jednak suche.

W jednej chwili Wan Teng stała się przewodniczką. Starła się opowiadać o historii miasta, lecz albo niewiele wiedziała, albo historia była nudna, bo tak jakoś niemrawo jej wychodziło. Co chwila, jak w drodze z dworca do schroniska, zaczepiali nas sklepikarze, dzieci i - mimo wszystko - pimpy. Wśród azjatyckich twarzy czasem wyróżniały się europejskie, raczej kaukaskie rysy - zwykle, tak, najczęściej dwaj-trzej faceci, koniecznie po czterdziestce, wypasione, rumiane gęby, głośne dla animuszu rozmowy, gardłowy, męski śmiech... Większość wróci do swych fabryk w Hanowerze, Lionie, Nicei, Perth i będzie w szatni na lunchu opowiadać jarającym się kumplom, że Tajki mają pizdy jak naparstek. Czasem mierzyły mnie wzrokiem Europejki w towarzystwie mężów, wzrok przenosząc zaraz na buzię Wan Teng, po czym znów na moją rumianą, wypasioną gębę.

Skręciliśmy w jedną z bocznych, mniej ruchliwych, lecz równie długich jak Thamnoonwithi ulic. Wan Teng niezbyt chętnie zgodziła się na to. Trudno się dziwić: w cuchnącym odpadkami i uryną tunelu pomiędzy stuletnimi kamienicami hulają dusze umarłych. Jest to Aleja Umierających.

Wan Teng powiedziała, że jest nowoczesna, śmieje się mówiąc o zabobonach staromodnych Chińczyków. Daleka jest od przesądów, lecz wobec śmierci wszyscy jesteśmy bezsilni. (Poczułem pot na jej dłoni.) Wszak śmierć jest bezpośrednią konsekwencją narodzin, śmierci nie należy się bać. Co innego umarłych, gdyż umarli zwiastują nieszczęście w rodzinie.

Szliśmy chodnikiem, mijając kolejne szeroko otwarte bramy do sklepów pogrzebowych. W środku panował półmrok. Półmrok i zaduch, bijący na zewnątrz zapach kurzu, pajęczyn, naoliwionego drewna, trumien, tłących się w ołtarzykach patyczków na szczęście. Na progu jednej z bram stał stary Chińczyk, właściciel warsztatu wyrabiającego z papieru istne cuda: atrapy mercedesów, pałaców, złożonych banknotów, których w piekle nie powinno zabraknąć. Ludzie w Hat Yai zamiast do Czyśćca wędrują na pierwszy poziom piekła; od tego, jak bardzo zgrzeszyli za życia, zależy będzie pokuta. Niemowlęta trafią od razu do nieba, starsi na odpowiedni dla siebie poziom, skąd zmartwychwstaną w kolejnym wcieleniu na ziemi. Człowiek rodzi się, by cierpieć. Dopiero w niebie spotka go anielskie życie wieczne.

W bramie obok nie było nikogo. Zajrzeliśmy do wnętrza. Pośród ozdobnych trumien, ustawionych jedna na drugiej, na rozkładanym krzeselku siedział pryncypał. Widząc młodą Chinkę w towarzystwie długonosego, leniwie przymknął oczy, by powrócić do swej codziennej drzemki: tym razem biznesu nie będzie. Sprzeda dzisiaj dwie, może trzy trumny. Przyjadą krewni umierającego, dziesięć, dwanaście osób, i przez godzinę będą wybierać i dyskutować, oglądać i dotykać. Na koniec wynegocjują cenę. Niekiedy syn przywiezie ojca, aby mógł on wybrać dla siebie ostatnie w tym życiu posłanie. Starzec umieści potem trumnę na podium w osobnym pokoju w domu rodzinnym, obłoży ją atrapami, ustawi na czerwono-złotyach talerzykach piramidy styropianowych gruszek, pomarańczy i jabłek. Zamknie pokój na cztery spusty i cierpliwie będzie czekać. Najzamożniejsi umrą w tym pokoju, najbiedniejszych rodzina odwiezie do Domów Umierających. Nieszczęście domowi przyniesie ten, kto umrze w sypialni, w pokoju gościnnym, w kuchni.

Zatrzymaliśmy się przed jeszcze jedną kamienicą. Wan Teng nie czuła się najlepiej, wolałaby nie wchodzić do środka. Nie pamięta ani dnia, ani miesiąca, ani roku, w którym zmarł jej dziadek. Można sprawdzić - zmarł dokładnie wtedy, gdy zaważył się supermarket Billion. Sprawdziłem potem: było to w roku 1988, zginęły 32 osoby, prawie 1000 zostało rannych. Dziadek zmarł na parterze tej kamienicy. Matka zasłaniała oczy Wan Teng. Siedzieli w dziesięcioro wokół trumny, medytowali. Od czasu do czasu dziadek uśmiechał się, częściej kaszłał. Prawdopodobnie miał raka płuc, bo do końca palił papierosy, lecz nie dał się zbadać. Chińczycy nie wierzą doktorom. Owszem, do dziadka przyszedł znachor, lecz nie po to, by przedłużyć życie. Usługą znachora jest nastawianie złamanych kości, wyrywanie zębów, oczyszczanie myśli opętanych, gotowanie ziół na syfilis, ale w obliczu śmierci może on tylko pożegnać duszę.

Wan Teng pamięta, że w chińskiej dzielnicy wybuchła panika. Wiadomość o katastrofie szybko rozeszła się po mieście, dotarła do Songkla, Bangkoku, Chiang Mai. Był to Rok Smoka. Ludzie przepowiedzieli, że tragedia powtórzy się za 72 lata. Wan Teng, jeśli dożyje, będzie miała 79 lat, dokładnie tyle, ile miał dziadek. Czy nie jest to zadziwiające? Gdy zmarł i rodzina dowiedziała się o katastrofie w Billionie, wszyscy czekali, kto umrze następny. Wan Teng nie mogła spać. Moczyła się w nocy, w dzień obgryzała do krwi paznokcie, opuściła się w nauce. Matka zachodziła w głowę. I rzeczywiście, zmarła najpierw ciotka, niecały miesiąc po dziadku, potem babka ze strony ojca, rok później brat matki, kuzyn i sąsiadka. Trudno wyciągać stąd jakieś wnioski.

Weszliśmy do środka. Ciemny korytarz prowadził z bramy do długiego pomieszczenia przypominającego zagracony warsztat kowalski, raczej przedsiębiorstwa. W trzech szeregach stały żelazne łóżka, na których poruszały się koce i prześcieradła. Trudno uwierzyć, że w tych warunkach umierają ludzie.

Była to pora lunchu. Siedząca na najbliższym łóżku stara kobieta trzymała w rękach aluminiową miseczkę wypełnioną ryżem. Pokręcone reumatyzmem palce zagrabiły białą masę i po dłuższej chwili trafiły do dziury pomiędzy kością podbródka a nosem. Dziura zamykała się i czubek nosa ocierał się o podbródek, palce wciskały się ponownie w masę w miseczce. Trzy posiłki dziennie kosztują 80 bahtów, plus łóżko, względnie miejsce na trumnę, plus miednica, kaczka. Razem 130 bahtów. Pokój w tanim hotelu kosztuje 160.

- Ci ludzie nie chcą umrzeć w domu. Ani w szpitalu - powiedziała Wan Teng.

W szpitalu panuje nieprzyjemny zapach, poza tym w szpitalu za łóżko biorą więcej i nie pozwalają wstawić trumny. Niektórzy czekają tutaj na śmierć kilka dni, inni całe tygodnie i miesi'ce, gdy znachor przedwcześnie postawi diagnozę.

Pomyślałem o Darrylu, którego zwłoki polecą w cynkowej trumnie do Australii, choć wybrał on przecież Azję na cmentarz. Rozdzwonią się telefony, pójdą w ruch faksy i o ciele samobójcy zdecydują międzypaństwowe umowy... Wan Teng nie wytrzymała półtrupiej atmosfery tego domu. Dla zacerpnięcia tchu wyszliśmy na ulicę, o której najstarsi w Hat Yai powiadają też czasem: Aleja Wiecznej Szczęśliwości.

Poszliśmy dalej, obarczeni obowiązkiem rozmowy o niczym: ona - bo zapłaciłem, ja - bom przyjemniaczek z dobrego domu. Zamilkliśmy dopiero przed budynkiem Siam Commercial Bank na ulicy Drugiej Nithat Uthit, który wyglądał jak

krwistoczerwona truskawka z zieloną szypułką, rzygnięta dalekosieżnym pawiem pośród szarego ubóstwa. To ubóstwo, wszak całe ubóstwo Hat Yai odbijało się w liliowych lustrzanych szybach, jak czerwona róża na czarno-białym filmie Spielberga, w rumowisku i na gruzach. Wiem, że to przesada, ale tak właśnie wtenczas pomyślałem. Marmurowa kolumnada nad wejściem głównym, granitowe schodki, złote framugi niczym perłowe implanty w bezzębnej gębie. Wan Teng zerknęła na mnie i uśmiechnęła się durnowato, dumna z tej pysznej elegancji. W środku siedem pustych zakratowanych okienek, natomiast przy ósmym, w rogu sali, kęłbowisko jak w kolejce do trumny Lenina. Złożona z głów i barków ludzka żmija wiła się ciasno aż do drzwi wejściowych. W rękach ściśnięte książeczki czekowe, wypełnione rachunki wpłat i wypłat, pisemne prośby o pożyczkę. Przy drzwiach ochroniarz z drewnianą kolbą wielkiego rewolweru, wystającą spod pachy. Kula z takiego rewolweru zrobi ci w mózgu biegunkę. Nic tak nie boli w ubóstwie jak cudze bogactwo. Jesteś bogaty i patrz na ciebie, jakby chcieli ci wbić w serce paznokcie. Stoisz w tej kolejce i myślisz, czy cię nie upolują. Sześćdziesiąt tysięcy bahtów to istna fortuna, japoński motocykl stopięćdziesiątka, marzenie tajskich chłopców.

Minął kwadrans, potem drugi. Wan Teng, patrząc na krajanów, miała minę idiotki, która zdawała się krzyczeć: „Oto mój europejski mężczyzna! Nie jestem dla niego kurwą!”

- Ciagle uważasz, że chcę zbawić świat? - zapytałem z nagłą.

Odpowiedziała głośno, tak, aby wszyscy wokół usłyszeli:

- Zabiorę cię do domu, chcesz?

- Czemu nie. Ciekaw jestem, jak mieszkasz.

To samo pytanie zadała mi kiedyś Zofia, takie było chyba jej imię, o ile dobrze pamiętam. Wszedłem z knajpy na rynku, w której zjadłem pieczeń wieprzową w sosie kretyńskim, jak dwukrotnie zapewnił kelner Józek, i wypilem baterię browaru. Zofia i ta druga, obie pijane, stały pod latarnią, dosłownie: jak kurwy na przedwojennym filmie. Potem, gdy ta druga się zmyła, a ja wywiozłem Zofię do Zajazdu pod Basztą, powiedziała:

- Czulaam się, jakbyś wziął mnie spod latarni.

Miała włosy pod pachami i nigdy nie strzyżone niechlujstwo na łonie. Chichotała, gdy ją goliłem, leżącą na łóżku.

- Co mi robisz? Co mi, do kurwy nędzy, robisz? Hi hi hi - chichotała.

Potem spytała, dlaczego wyrzuciłem do kosza tak drogą maszynkę. Potem sapiałem na niej jak jakaś dzicz.

- Pierdolisz mnie, jakbyś dopiero wyszedł z pudła, hi hi hi - chichotała w przerwach, gdy osuszaliśmy kolejne półlitrowki EB i lecha.

Rano przyszedł jakiś facet z dyrekcji i machając wiechciem jakichś papierów, powiedział, że musimy zwolnić pokój, bo został już wynajęty, tak zresztą jak wszystkie pokoje w zajeździe. Z pogardą spojrział na banknot stużłotowy, którym machałem mu przed nosem jak gałganem szmaty. Wtedy właśnie Zofia zadała to pytanie, a ja nie wiedziałem jeszcze, że jest ona matką trojga małych dzieci, które zostały same w domu.

- Jedźmy do Kosmosu - powiedziałem.

Pojechaliśmy krążąc bocznym ulicami, by nie nadzieć się na policyjne wozy. W Kosmosie trwał dalej nasz stan nieważkości. Trzeciego dnia, gdy zeszedliśmy do

restauracji na śniadanie i browar, nie mogła zrobić kroku, by nie zwrócić na siebie uwagi gości i obsługi. Mnie także wszystko bolało.

- Dawno się tak dobrze nie ubawiłam, ale muszę wrócić do domu.

W drodze powrotnej do naszego miasteczka skończyło się jednak paliwo. Chłop w zagrodzie, do której poszliśmy przez las po pomoc, był pijany, więc nie dostrzegł, że ledwie trzymamy się na nogach. Dostrzegł za to szyjkę butelki wystającą mi zza paska spodni. Wsadził nas na traktor, odnaleźliśmy samochód, i przyholował go do siebie, po drodze zajeżdżając do gospody po żytnią za moje pieniądze. Piliśmy kolejne dwa dni, a nocami żona chłopca podsłuchiwała pod drzwiami do pokoju na poddaszu, w którym spaliśmy we troje na wielkim tapczanie. Nie, nie, chłop nie przeleciał Zofii, choć może chciała. Patrzył to na nią, to na mnie i widać było, że boi się ośmieszenia, gdy wyciągnie po jej dekolt swą łapę, a ona tę łapę wykpi swym pijanym chichotem.

Nazajutrz wyrzuciła nas żona chłopca.

Chłop sprzedał nam bańkę ropy i pożegnał znakiem krzyża. Tego rana już nie piłem, zawiozłem ją pod kamienicę naprzeciwko komisariatu policji. Zobaczyłem mieszkanie, jednoizbową czynszówkę ze ślepą kuchnią, i troje rozradowanych, umorusanych dzieci. W mieszkaniu śmierdziało jak w chlewie, a przez małe okno sączyło się światło z ulicy.

- Jak chcesz, możesz tu mieszkać.

- Ja też muszę wrócić do domu.

- Mówiłeś, że nie masz domu. Wierzysz mi chyba, co nie? Jakbym chciała, dawno bym cię oskubała. Wiem, ile masz pieniędzy, sprawdziłam.

Odliczyłem kilka banknotów, lecz nim się odezwałem, przerwała mi mówiąc, że bym jej nie obrażał. Nie jest dziwką.

Tegoż dnia wieczorem, gdy znów wychodziłem z knajpy na rynku, dostałem trzy razy w mordę i upadłem na chodnik.

- Wiesz za co! - krzyknął jakiś miejscowy zbój i zerwał mi z ręki zegarek Made in China. - Następnym razem dopierdolę ci nożem.

Wan Teng przetłumaczyła słowa kasjerki, wrywając mnie z zamyślenia.

- Co takiego?

- Masz numer przekazu? - powtórzyła.

- Ach, tak, mam tutaj - wyjąłem notatnik.

- Potrwa to około pół godziny - tłumaczyła. - Trzeba wykonać telefon do Western Union w Bangkoku.

Odeszliśmy od okienka. Po chwili zjawił się menedżer i płynną angielszczyzną zapytał:

- Życzą państwo sobie kawy lub herbaty? Może ciasteczka? Proszę za mną - nie czekając na odpowiedź, poprowadził nas do małej salki za kuloodpornymi drzwiami. Po dwudziestu minutach nadszedł faks z Bangkoku i menedżer odliczył kupkę banknotów.

- Dziesięć procent chciałbym wysłać do Australii.

- Nie rozumiem - zawiesił na mnie wzrok. - Dlaczego?

- Teraz ja nie rozumiem - zawiesiłem wzrok na nim.

- Dlaczego chce pan transferować na Australię. To będzie... - postukał na kalkulatorze - dwieście czterdzieści osiem dolarów australijskich i trzydzieści pięć centów.

Na kartce zapisałem nazwisko i adres Renaty. Parę minut później wyszliśmy przed budynek i udaliśmy się do domu.

Dom dzieliła Wan Teng z trzema dziewczętami, które były w tym czasie nieobecne, jedna w pracy, druga z wizytą na wsi. Właściwie była to połowa chaty z malowanych okrętową brązową farbą płyt pilśniowych, zawieszonych na drewnianych palach wbitych w dno rzeki przy samym brzegu. W oknach nie było szyb, a w pokojach żadnych mebli, oprócz paru staroświeckich gratów. Za takie graty melbourneńscy płacą na Chapel Street krociowe kwoty. Byłeś ostatnio na Chapel Street? Widziałeś już Chapel Street? W rogu głównego pomieszczenia siedział kamienny Budda, obłożony czerwono-złotymi talerzykami. Zbliżał się Nowy Rok Księżycowy, owoce owinięte już były, każdy z osobna, czerwoną krepą. Wan Teng raz jeszcze podkreśliła, że jest nowoczesna.

- Dobrze, że to tylko pomarańcze i gruszki, a nie winogrona i ryż. Jestem niewierząca, ale wiesz, tradycję wynosi się z domu... - próbowała pokryć zawstydzenie nieśmiałym uśmiechem. - To znaczy mój ojciec przestał wierzyć, gdy wszystko przegrał w kasynie. „Ja w ciebie wierzyłem”, krzychał do niego, „a ty mnie tak porzuciłeś!” Cisnął weń butelką po whisky. Wtedy zaczęła wierzyć matka, bo sąsiedzi mówili, że ojciec przegrał, gdyż właśnie nie wierzyła.

Wyszła do kuchni, a ja usiadłem na ruchawej kozetce, w której urwaną nogę dziewczęta zastąpiły kostkami nierówno urżniętego drewna. Wróciła po chwili, wnosząc mosiężny, w kształcie świętego słonia dzbanek z herbatą i maciupeńkie filiżanki.

- Jak chcesz, możesz tu na razie mieszkać. Więcej miejsca niż w schronisku, no i przyjemniej ci będzie - powiedziała, lecz nie widząc mojej reakcji, podeszła do telewizora i nacisnęła wielki klawisz. Na bladokolorowym ekranie mignęły sylwetki jakichś żołnierzy, po czym nastąpiło powolne zbliżenie kilkunastu ludzkich zwłok przykrytych kocami. Wan Teng zauważyła moje zainteresowanie, odczekała chwilę, wsłuchując się w dziennikarski komentarz, i powiedziała:

- To Myanmarczycy. Zostali schwytani na próbie przejścia granicy.

- Schwytani?

- Prawda, zastrzeleni. Ale tak powiedział spiker - zamilkła na moment, po czym dodała: - Pewnie nie wiesz, że Luise Guest House to także punkt przerzutowy dla Myanmarczyków. Przyprawdzają ich przewodnicy z północy i odbierają ci z południa, z Malezji.

Pomyślałem o Tracy.

- Wiesz, czekam na kogoś, kto ma przybyć z Malezji, to znaczy nielegalnie... - widać uczyniłem wyrazistą minę, bo domyśliła się w mig:

- Nie ma obawy. Na południu nikt nie strzela.

Na ekranie ukazała się jakaś przepyszna, ociekająca złotem komnata, a po chwili okulary na nosie króla, podpisującego jakieś papiery. Potem klepiące jedna w drugą dłonie jakiejś świty, jakieś mundury, pewno generalskie, złoto i srebro gwiazd na piersiach pełnych tchu i racji stanu, błękitno-czerwone szarfy, generalskie żony z wysokimi fryzurami.

- To Jego Wysokość Rama IX z dynastii Chakri, najdłużej panującego rodu w historii Tajlandii! Zobacz, jaką ma piękną twarz!

- Mężczyzna nie musi być piękny, król ma być mądry i sprawiedliwy.

- Ależ on mądry jest, mądry i także piękny! - posypała się litania dziewczęcych zachwyków.

Ubiegłego grudnia, o czym skrupulatnie doniosła prasa w Malezji, policja w Hat Yai aresztowała jakiegoś ulicznego handlarza, który posiadał czterysta kaset wideo z hollywoodzkim filmem „Anna i król”, zakazanego w Tajlandii z uwagi na „antykrólewskie” żarty, jakie Judie Foster, nauczycielka, robi pod adresem Chow Wuen Fatta, króla. Najwidoczniej Bhumibol Aduyladej poczuł się dotknięty tym „antytajlandzkim” filmem, bo owego handlarza skazano na siedem lat więzienia, i to bynajmniej nie za rozpowszechnianie pirackich kaset.

Aduyladej zatroszczył się o swój majestat także wtedy, gdy żarty na temat jego żeglarskich zamiłowań czynił publicznie jeden ze znanych intelektualistów, Sulak Sivaraksa. W 1991 roku nazwał on króla skiperem, po czym został aresztowany, a następnie warunkowo obdarzony królewskim ułaskawieniem. Jednakże miał niewyparzoną twarz, bo wkrótce rodzinę królewską nazwał „zwykłymi ludźmi”, za co tym razem skazano go na banicję. Wrócił wprawdzie po kilku latach, lecz milczy, gdyż wisi nad nim nie wykonany wyrok więzienia, tak na wszelki wypadek, gdyby znów przyszło mu do głowy udawać Woltera.

- Nie pijesz herbaty? - spytała Wan Teng.

- Piję, piję. Smaczna jak z Mekongu - aby nie być gołosłownym, umoczyłem usta w gorącym płynie.

- Zaczekasz chwilę? Wezmę szybki prysznic.

Dałem jej potakujący znak głową. Wyszła do łazienki, zostawiając drzwi otwarte na oścież. I choćbym nie chciał, widzieć musiałem, jak zdejmuje sukienkę i majtki, jak nabiera wody do czerwonego wiadra z dziurami jak sito, jak wiesza ten ciężar na haku pod sufitem i jak obraca się w sikawisku, wyczyniając łamańce, ukazując raz przód, raz tył swego bezwstydnego ciała, które mniej i mniej zdaje mi się kurewskie. Po czym powtarza czynność nabierania wody kilkanaście razy, aż do skutku, to znaczy do chwili, gdy nie wytrzymałem i wyszedłem przed dom.

Przed chatą wisiał fetor wezbranej po czteromiesięcznych deszczach rzeki i ludzkich fekaliów. Skłamałbym mówiąc, że w wodzie widziałem ludzkie kiełbasy, ale pewne jest to, że odchody spływają z kloaki wprost do rzeki pod domem. Toteż dym z papierosa zdał mi się Bosko kojący. Stałem oparty o balustradę pomostu, po którym wchodzi się z ulicy do domu, i o niczym nie myślałem. Tylko dym, szarobłękitny dym, filuterne arabeski dymu, pnące się ku niebu, wdech i wydech, wdech i wydech, cucąca z szaleństwa dawka nikotyny.

Nim skończyłem, Wan Teng wychynęła z chaty, sprawdzając, czy przypadkiem nie odszedłem. Udała, że nic się nie stało, że nic nie zaszło, że wszystko jest tak, jak być powinno. Kto ją trenował? Jak marne ma to dziewczę poczucie wartości. Lecz gdyby zerwała z przeszłością, odcięła raz a mocno to paskudziarstwo od swych prawdziwych pragnień, byłaby wolna, byłaby sobą, a nie kurwą za osiem dolarów, nie publicznym szaletem.

Wieczorem wyślę do Polaka w Szwecji mój lament, moje majaczenia, że boję się Tajlandii, że boję się oddychać, że boję się żyć. „Człowieku”, odpisze po paru godzinach, „ty musisz natychmiast wracać do domu. Ja się o ciebie martwię, ty z wolna tracisz zmysły!” Nie mam domu. Wieczorem będę leżał w ciemności na łóżku, wsłuchując się w szmery w schronisku. Usnę dopiero nad ranem, gdy za ścianą z

cienkiej, azbestowej płyty umilkną odgłosy pohukujących jak para goryli jakiejś Tajki i jakiegoś Europejczyka.

13

Mój drugi dzień w Hat Yai, jak wiele dni w Malezji i wcześniej, ostatnimi miesiącami, także na Filipinach, zaczął się od spowolnionego przebudzenia w południe. Awakening, myślałem często o swym życiu, które usiłowałem zreperować, dosztukowując brakujące ogniwa, by z chaosu dobyć jakiś sens.

Przebudziły mnie tego dnia w Hat Yai rozstaje dróg, zdało mi się, że właśnie tutaj powinienem się zatrzymać. Przebudziłem się myśląc o Chinach, o Renacie, o Sylwii, o Tracy, nawet o Wan Teng, którą także pragnąłbym wydobyć z szamba, gdybym mógł się poświęcić; pomyślałem o Polsce i o tych wszystkich ludziach, z którymi nie umiem już dojść do ładu, i wcale nie dlatego, że do ładu nie umiem dojść nawet sam z sobą.

Tego dnia w południe napisałem trzy listy, prawie identyczne - e-mail do znajomej w Sydney i dwa papierowe do Melbourne. Ta dziwka z Sydney, która wisząc godzinami na telefonie, wkładała sobie palce do pochwy, by mnie podniecić i którą w ten sposób, przez parę miesięcy, wyciągałem z depresji po czterdziestce, odpisze pośpiesznie: „Cóż, nie wiedziałam, że jesteś taki nieszczęśliwy... U mnie wiele zmian, napisałam książkę, którą właśnie wydaję w kraju... Trzymaj się jakoś. Bye, bye.” Sara i Patryk napiszą, jak to oni, oględnie. Sara potajemnie pospieszy z pomocą; po jej liście zaczną napływać elektroniczne szczepionki na odporność: jakiś student ze szkoły filmowej w Łodzi będzie chciał adaptować moje opowiadanie jako dyplomową etiudę; jakiś Polak z Australii napisze, że był moją satyrą na Polonię wprost zachwycony. Z kolei Patryk, od paru lat przyjaciel, zwierzy się, że od czasu, gdy zniknąłem, czuje się opuszczony. Zaprosi mnie do siebie, gdy tylko zjawię się w okolicy.

Lecz także tego dnia przyjechała Tracy. Kiedy stanęła w progu mojego pokoju, miała oczy jak panda, posiniała od zmęczenia i brudu, poszarzała od niewyspania twarz; w utyłanym błotem, szarozielonym dresie, o parę numerów zbyt obszernym, zdawała się już nie drobna jak w dniu naszego pierwszego spotkania, lecz chuda, koścista, wyzuta, zgarbiona pod ciężarem lnianego plecaczka. Postąpiła pół kroku w moją stronę i w drzwiach ukazała się twarz przewodnika. Trzymał w rękach długą jak kajak, podróżną torbę. Stawiając ją na podłodze, powiedział:

- Witam i żegnam. Robotka skończona.

Wyszedł zamykając drzwi. Tracy zsunęła plecak z ramion i usiadła na brzegu łóżka.

- A więc jesteś - powiedziałem, choć powiedzieć chciałem: „A więc jesteśmy razem”.

Zdjęła bluzę od dresu i zaczęła chaotycznie opowiadać, jak wczorajszego popołudnia, aż do szarówki, szła przez dżunglę ścieżką na stoku góry, pośród drzew, których odmian nie umiałaby nazwać, drzew wysokich na kilkadziesiąt metrów, o pniach tak grubych, że objąć ich ramionami nie zdołałoby nawet pięciu mężczyzn,

pninach mocnych jak żelazne walce, porośniętych mchem nie tylko od strony północnej, lecz ze wszystkich stron, gdyż szerokie, rozłożyste korony liściaste u szczytu zasłaniały niebo, a na niebie słońce. Raz po raz tylko przez szczeliny w koronach niespodziewanie strzelały smugi światła, kładąc się w filmie leśnego powietrza, rozszalałych owadów. Ścieżka ta była wąska i śliska. Ścieżki tej, ilekroć Tracy unosiła wzrok spod stóp przed siebie, nie było końca. Znikała za zakrętami, za stromizną góry, pięła się wysoko, aż po szczyty drzew, wpadała do ciemnych, skrytych w gąszczu paproci głębokich wąwozów, na których dnie płynęły strumyki brunatne od gliny przy płytkim łożysku, krystaliczne zaś na żwawej, rwącej rozpedzonym nurtem powierzchni wody. W poprzek ścieżki i strumieni leżały powalone starością, zmurszałe, przegniłe do wilgotnego próchna pnie, w których pustym wnętrzu kryły się jaszczurki, żmije, żaby, pluskwy, pancerne robaki o błyszczących, czarnych skorupach na grzbiecie i silnych, rozstawionych szeroko na boki kończynach. Stawiając stopę na pniach, iżby wspiąć się na nie i zeskoczyć po drugiej stronie, ostrożnie badała korę, bijąc ją najpierw długim, grubym kijem, który dał jej dla odwagi przewodnik; na którym się podpierała i którym rozchyłała zagęszczone gałęzie, a następnie wolno, zadając stopie coraz większy ciężar, wstępowała i z trudem przez parę chwil utrzymując równowagę, zeskakiwała za przeszkodą. Jej buty, zwykłe półsportowe buty, nie nadawały się do leśnej wędrówki; gumowe podeszwy nie miały odpowiedniego profilu, więc często zeskakując przewracała się, umazując nogi w dresach, dłonie, twarz i włosy tłustą, lepka od wilgoci, chłodną ziemią.

Spojrzałem po niej uważnie; akurat odsznurowywała adidas.

- Umyłam się - powiedziała ciskając jeden but pod ścianę i masując palce u nogi, po czym wróciła do swej opowieści.

Ścieżka gdzieś tam prowadziła do kałużastych rozlewisk, by nagle urwać się na ich brunatnym, mętym brzegu i wydobyć się na przeciwległym krańcu, pięć-sześć metrów dalej. Przeskoczyć te kałuże było niemożliwością, owszem, w szkole skakać umiała dosyć daleko, ale na szkolnej bieżni można było nabrać rozpędu, odbić się od wykredowanej na białą deski i wylądować w miękkim piasku. Ścieżką należało iść uważnie, unikać niebezpiecznej brawury; zwichnięcie nogi, złamanie kości, jakakolwiek kontuzja, najbardziej błaha rana mogłyby przynieść fiasko całej grupie. Obchodziła więc bajora szerokim kręgiem, grzęznąc często po kostki w obrzydliwej, paskudnej mazi, po czym gdy znalazła się ponownie na ścieżce, przewodnik scyzorykiem odcinał od nóg przyssane pijawki.

W tej chwili przerwała swą gawędę, wzdygnęła się, jak gdyby z obrzydzenia miała zaraz dostać fioła, i zapytała:

- Mogę się wykapać?

- Pewnie, że tak, lecz nie mam ciepłej wody.

- Nie szkodzi - pochyliła się nad podrózną torbę i wygrzebała parę rzeczy, lecz potem, najpewniej trafiwszy palcami na bieliznę, wstrzymała dłoń i skierowała twarz z wstydliwym uśmieszkiem w moją stronę.

- Wyjdę na papierosa, zawołaj mnie, gdy skończysz.

Wyszedłem. Zapaliłem papierosa, popielniczkę robiąc z dłoni. Stałem przy oknie, za którym na szare, poczerniałe od skamieniałego kurzu dachy miasta siąpił i zacinał deszcz. Po upływie kwadransa Tracy uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz,

kiwając dłonią na znak, że mogę wrócić. Była przebrana w jasnobrązową minispódniczkę i biały T-shirt z napisem przez środek: „Hard Rock Cafe Shanghai”.

Jednak gawędy w pokoju nie kontynuowała. Wyszliśmy wkrótce do miasta i dopiero siedząc na piętze „Geographer's Cafe”, przy stoliku obok otwartego okna z ciężkimi okiennicami, wróciła do swej opowieści.

Była już mocno zdrożona swą wędrówką do wolności, jak powiedziała, paski plecaka wcinały się boleśnie w ramiona; była już mocno spragniona, wodę w dwulitrowej butelce po coca coli oszczędzała na czas, być może, trudniejszy; była już senna, minuta ciągnęła się za minutą ślimaczym tempem, jak ciągnęły się krok za krokiem jej coraz bardziej papierowe nogi, jak ciągnęły się jej opuszczone przez wolę myśli.

Wtedy właśnie, gdy będąc u kresu fizycznej wytrzymałości i psychicznej równowagi, rozglądała się po lesie za miejscem na obozowisko, w którym mogłaby bezpiecznie, w leniwym odpoczynku czekać, jak upływa czas, przetrwać chłodny wieczór i także noc, ścieżka dojrzała do równinnej małej polany, na której zamiast drzew rosły miejscami gęste, miejscami rzadkie zarośla, wysokie na dwa-trzy metry krzaki, jak również niższe, karłowate czupryny zdziczałych róż, a wokół nich, po skraj lasu, trawa wyschnięta od słońca. Na pokrytym lasem stoku góry polana wyglądała jak wykarczowana półka, jak taras, jak balkon, z którego, gdy przewodnik zatrzymał grupę na samym środku, roztaczał się widok przepiękny - w dole zielona, soczysta dolina rzeki o wodzie koloru kawy z mlekiem, w której łuskowatej tafli odbijało się bezchmurne, przedwieczne, bezbarwne niebo; naprzeciwko, aż po horyzont - rozległa, niezmierna połonina, która garbiła się i pięła ponad korytem rzeki.

Odwróciła głowę w przeciwną stronę, szukając miejsca na namiot, lecz przewodnik wskazał inne miejsce. Ponad gęstwiną zarośli, skryty pod warstwą mchu sterczał dach z krótkim, ceglany kominem, utraconym do połowy, szczybatym, nierównym. Był to dach stary, zapadły pod swym ciężarem. Podeszła bliżej, lecz upłynęło parę minut, zanim idąc gęsiego, zdołała przecisnąć się przez zaporę krzaków. Rozgarniając gałęzie kijem, wodziła po nich wzrokiem, wypatrując pajęczyn. Mimo ostrożności i skupionej uwagi raz przyłgnęła jej do twarzy klejąca się do skóry gruba siatka z wyschniętymi, pustymi w środku trupami much. Pająk odszedł dokądś, lecz jej obrzydzenie było wcale nie mniejsze. Zdarła ze wstrętem co się dało z twarzy i jeszcze przez parę chwil miała wrażenie, że czuje na szyi i wokół ucha pajęczne kroki. Lecz gdy wreszcie wyszła na zewnątrz, zapomniała o wszystkim, bo jej oczom ukazał się parterowy dom z małym krużgankiem, z powybijanymi w oknach szybami, z dziczą pełzająca po murze i z otwartymi na oścież, dwuskrzydłowymi drzwiami. Najpewniej od lat nikt tutaj nie mieszkał, nikt nie przychodził zbyt często, choć sądząc po wydeptaniu ścieżki, musiało mijać ten dom wielu wędrowców.

- Ty wiesz, jak bardzo chciałam wtedy zostać w tym domu? Ty wiesz, jak bardzo poczułam się wtenczas bezdomna i samotna? Zawsze marzyłam o domu na plaży, o domu ze szkła, z rozsuwanym dachem, przez który można podziwiać nocne niebo, gwiazdy, odległe galaktyki... Lecz ten dom w sercu dzikiej puszczy wydał mi się jak oaza, wytchnienie, przystań w oku cyklonu, w środku burzy.

Tak siedzieliśmy popijając sok z trzciny cukrowej przez plastikowe słomki, z chudych szklaneczek o grubym jak soczewka dnie, a ludzie, cztery-pięć osób zebranych w sali na piętterku, zerkali ukradkiem, nie wiedząc, jak nas zaszufladkować,

szczególnie Tracy - w jej koszulce z Szanghaju, nałożonej na wyuczoną od dziecka elegancję ruchów: miejscowa ona, czy nie, a jak miejscowa, to czy kurwa, czy nie. Z pewnością nie wyglądaliśmy na zakochanych, stąd też te ludzkie spojrzenia były o tyle bardziej pytające. Nie wiem, co myślała Tracy, lecz dla mnie był to chyba pierwszy moment w tej naszej konspirze, że poczułem się mniej samotny niż dotąd. Powiem więcej, był to chyba pierwszy moment od wielu, wielu lat, gdy poczułem, że odpływa ze mnie ból samotności. I w tym moim przegraniu pomyślałem wtedy, że nie poddałem się jeszcze życiu, że w samej rzeczy nie stchórzyłem, nie porzuciłem się z gazetą w ręce w fotelu, by żyć, jak leci i co najwyżej przyglądać się dziwakom, jak ci ludzie w kafejce - ukradkiem. Że wciąż próbowałem, wciąż próbuję żyć odważnie, wciąż szukam nowych dróg, ścieżki raczej obok szerokiej drogi, by nie stracić niczego, co ociera się o nowe doznania, co wymyka się szablonom. Pomyślałem wtedy, że właśnie dlatego jestem samotny, bo nie boję się zmian.

I teraz, w towarzystwie Tracy, poczułem, że jesteśmy sobie bliscy, że mimo dzielącej nas odmienności, biegunowo różnych kultur, różnicy wieku, nierównego dla nas obojga ciężaru doświadczeń jesteśmy w gruncie rzeczy złączeni tym, co nadaje sens życiu: poszukiwaniem.

Tracy milczała parę chwil, zaprzątnięta jakimiś myślami, po czym powiedziała:

- Czym właściwie zajmowałeś się zawodowo?

Zaskoczyło mnie to pytanie, choć spodziewałem się go od początku. Co naprawdę miałem odpowiedzieć? Odpowiedziałem poniekąd prawdę:

- Rok mieszkałem w Polsce... Prowadziłem prywatną szkołę angielskiego...

Tracy siorbnęła przez słomkę. Siorbnienie odbiło się od ścian. Jej twarz okryła się płóнным rumieńcem.

- Przepraszam.

- Zdarza się przecież... Opowiedz mi, co było dalej – poczułem, jak niespodziewanie wypełnia mnie jakieś wyciszenie, wewnętrzny spokój, słoneczna w ten pochmurny dzień pogoda serca, jak nigdy jeszcze na azjatyckiej ziemi.

14

Tego dnia późnym popołudniem odszukaliśmy kryjówkę owego przyjaciela Che, także Chińczyka, który handlował dokumentami. Oprócz paszportów miał prawa jazdy, druki bankowe, dowody rejestracyjne aut tajlandzkich i malezyjskich; z dumą pokazywał oryginalne dyplomy podporucznika z West Point, bilety senatorskie, przepustkę na teren NASA w Pasadenie. Nie pojąłem, na co komu w Hat Yai to całe archiwum.

Był on także specem od fotografii, cyfrowym aparatem ciachnął w mig parę klatek Tracy, po czym zasiadł do komputera, zalecając nam cierpliwość w osobnym pokoju. Nie minęło pół godziny, kiedy podał Tracy gotowy tajlandzki paszport.

- Huei Yi Chen - przeczytała swe nowe nazwisko. - To zabawne, odtąd będę Starą Myślącą Kobieta.

Zapłaciłem umówione już wcześniej przez telefon dwadzieścia tysięcy bahtów, miesięczną pensję menedżera w średniej wielkości fabryce.

- Chcesz pokwitowanie? - zaśmiał się skrzekliwie.

Wyszliśmy na ulicę, by wtopić się w tłum, by zniknąć w tej Azji, by zacząć kolejny etap życia. Wan Teng da mi adres swych rodziców na wsi pod Songkla - nie będzie pewna, jak długo jeszcze zagrzeje miejsce w swej chacie nad rzeką w Hat Yai. Nigdy więcej jej nie zobaczę. A zresztą, kto wie... Pei Ling i Che przyślą mi później ślubne zdjęcia - Pei Ling urodzi ślicznego malezyjskiego Chińczyka. Che otworzy drugi sklep fotograficzny i będzie żyć, jak żyli jego ojciec i dziadek. Jean-Paul i Monique będą tkwili na ryżowisku, w swej maleńkiej Francji, którą będą pielęgnować aż do obłędu. Zapewne z wiekiem nabawią się wielkiego obłędu nostalgii, pogłębi się podkówka Monique, Jean-Paul pograży się w obsesji ściganego przez wszystkie sądy świata. Państwo Zielińscy spędzą swe następne wakacje w Egipcie, może na Karaibach; może spotkają jakiegoś innego Polaka, który nigdy nie rozwiąże zagadki ukradzionych książek. I będą potem pół roku oglądać wideo. Low Fu... Low Fu... ten daleko zajdzie. Nawiasem mówiąc, Tracy nie okradła go ani nie była jego narzeczoną. Cały jej majątek to było pięćset dolarów w drobnych banknotach i torba długa jak kajak.

Stary Chińczyk w bejsbolowej czapeczce... niech żyje w spokoju swych małych interesów. Mistress Hanna zniknie w końcu jak widmo, życząc mi w ostatnim liście przyjemnej podróży i zapewniając, że otoczy mnie stosowną opieką, gdy zawitam w Szanksi. Jednak wybiorę inną drogę, otoczę opieką Tracy, za ostatnie pieniądze kupię jej bilet do wolności. Jenny i Japończyk opuszczą schronisko, zanim wrócę z Hat Yai. Mister Soon coraz bardziej upodobni się do oberżysty ze świata Anatola France'a. Rozrośnie się ogród bananowy przed schroniskiem. Moja cela zakonnika na pierwszym piętrze, mój fotel na tarasie, moje rozmyślenia za osiem dolarów posłużą, być może, komuś innemu. Żona Mister Soona powie mi na koniec „do widzenia”, tak właśnie, po polsku...

Na pograniczu życia i fikcji. Bezdromność. Mojej bezdromności pierwszym recenzentem będzie ten Polak w Szwecji. Powie mimochodem, żebym dalej nie pisał, bo przecież nie warto. W Azji minie jeszcze miesiąc, wrócimy do Penangu, wynajmiemy piętro domu na Pantai Bersih i będziemy czekać, czekać, czekać.

Rafał Klunder